№ 9. Warszawa, dnia 19 Lutego (3 Marca) 1883 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Ksawery Marmier.

Przez

Sewerynę Duchińską.

Na polu francuzkiej współczesnej literatury, świeci jedno imię, jeśli nie najjaskrawszym, to niewątpliwie najczystszym blaskiem: mówimy tu o Ksawerym Marmier. Od lat pięćdziesięciu, znakomity ten pisarz, wydał pięćdziesiąt z górą dzieł rozmaitych pod względem treści, tem tylko zbliżonych do siebie, że wszystkie ogrzane ciepłem uczucia, opromienione urokiem poezyi, że wszystkie tchną myślą wzniosłą i głęboką miłością ziemi ojczystej. „Zrzekłbym się literackiej sławy, rzekł niedawno sympatyczny autor, skruszyłbym pióro, gdybym choć jednem słowem miał zgorszyć czytelników moich." Nie próżna to przechwałka, ktokolwiek czytał jego dzieła poświadczy to wyznanie. Urodzony w roku 1809, Ksawery Marmier ma dziś lat siedmdziesiąt trzy, zachował przecież w pismach swoich, całą świeżość, cały wdzięk młodości. Podczas pamiętnych walk romantyzmu z klasycyzmem, chciwy nauki młodzian, przebiegał wzdłuż i wszerz Skandynawią, badał Sagi islandzkie i starożytne pomniki literatury normandzkich ludów, przechowane w pieśniach i podaniach wieśniaczych. Wróciwszy do kraju z bogatym plonem, przyczynił się nie mało do tryumfu nowych idei.

Wkrótce opuścił znów Francyą, rozpoczął nowe pasmo wędrówek, w ktorych zbiegła mu cała młodość i wielka część wieku dojrzałego. Przebiegł kolejno wszystkie niemal kraje Europy: Szwajcaryą, Niemcy, Holandyą, Rossyą, Polskę; na północ dotarł do kraju Lapończyków, widział tam wschód słońca, po zmroku sześciomiesięcznym. W Afryce zwiedził Egipt, w Azyi Syryą i Palestynę, w Ameryce Stany Zjednoczone, Kanadę, Antyle i kraje rozsiadłe z obu stron Kordylierów. Gdziekolwiek przebywał, kreślił pełne barwy obrazy miejscowości, ze szczególnym poglądem na tubylców, na ich plemienne cechy i obyczaje, legendy, podania i pieśni.

Krajobrazy jego odznaczają się najściślejszą wiernością, surowo też gromi tych, którzy w mniemaniu, że poetom wszystko wolno, rzucali piórem na papier fantastyczne szkice, wcale nie podobne do prawdy. Ztąd to skarży się na Lamartina: opowiada jak przybywszy do Bayruth, pośpieszył na wzgórek panujący nad miastem. Siada na złomie skały, otwiera „Podróż na Wschód", skreśloną czarodziejsko piórem poety, porównywa opis z rzeczywistością. I jakiż jego podziw? Gdzież owe góry, owe grupy drzew, opisane tak cudnie? nie ma ich ani śladu! Obraz prześliczny, ależ to *fata morgana* odbita na fantazyi wieszcza, to zaprawdę nie Bayruth!

Listy z Ameryki Marmiera, świeżo wydane po raz drugi, wiernie malują te szerokie przestrzenie, tak bogato uposażone od przyrody, a przecież tak chłodne i bezbarwne. Czemu? bo w ziemi Jankesów nie kiełkują ziarna tradycyi, bo miejsce podań zastępuje tu zimna statystyka. Wymownie Marnier pokazuje tę sprzeczność.

„Przyroda, mówi on, dziwnie tu majestatyczna, pełna niezrównanego wdzięku. Lasy ogromne, przy rzekach tutejszych Ren i Dunaj wydają się małemi strumykami, jeziora niezmierzone wzrokiem, łudzą pozorem morza. Olbrzymi wodospad Niagarry, kwieciste wybrzeża Ohio; żyzna dolina Missisipi, tu i owdzie przecięta odwieczną dąbrową, wszystko to pyszny przedstawia obraz.

Lecz obok tego, jakże dziwny lud, który wszystko oblicza na dolary? Dziwny kraj, gdzie powiedzą ci bez zająknienia: „ten chłopiec wart milion!" jakby mówiono: waży 80 kilogramów! gdzie pieniędzmi opłacisz zbrodnię, gdzie zapłacona summa rozwiązuje przysięgę miłości, gdzie bankructwo nie wyciska piętna hańby, gdzie cudzoziemiec jest owcą do strzyżenia, gdzie cygaro zastępuje rozmowę, gdzie chciwość zysku, głuszy w sercu szlachetne uczucia, chęć sławy i gotowość do ofiar."

Jeśli Marmier szydzi dowcipnie z pozytywnych Jankesów, z miłością za to kreśli obraz Kanadyjczyków, którzy sto lat oderwani od dawnej metropolii, mimo to pozostali w duszy Francuzami. Żałosnem okiem patrzy na tę nową Francyą, tak niebacznie w końcu zeszłego wieku pozostawioną własnem siłom, a raczej porzuconą na łup Anglii. Miłość ta szczerą odpłacona wzajemnością. Ilekroć Kanadyjczyk jaki odwiedzi Paryż, pośpiesza czemprędzej w przyjacielskie progi Marmiera.

W trzydziestu tomach opisał podróżnik wrażenia swoje z dalekich po świecie wędrówek, nigdzie jednak nie skreślił ich z taką siłą poezyi, jak w fikcyjnych podróżach Nilsa, goniącego za ideałem. Poeta szwedzki Atterborn, wspomina w jednej z pieśni, cudowny kwiat, co nie zapuścił korzeni w ziemię: jego listki piją tylko rosę niebieską, kielich rozkwita na słońcu wśród lazurowych przestrzeni. Zowią go kwiatem powietrznym. Nie jeden chciał go uszczknąć, nikt jednak dosięgnąć go nie zdołał. To symbol ideału, pociągnął on na bezdroża tyle serc szlachetnych, tyle ognistych wyobraźni. Nils spostrzega zdala tajemniczy kwiat, karmi się jego wonią wśród niezliczonych przygód swej długiej peregrynacyi. Zdradziecka *Hafsfru*, Skandynawska siostra naszych świtezianek, zmąciła pokój młodego Szweda, szepnęła mu do ucha czarodziejskie zaklęcie. Niebaczny na łzy matki i prośby siostry ukocha-

nej, porzuca dom nad ślicznem jeziorem Silian, puszcza się na brzegi rzek nieznanych, szuka błękitnego zakątka, gdzie rozwija się w słońcu kwiat czarodziejski.

Próżne usiłowania! już, już ma go pochwycić!... wyciąga rękę... ujął tylko trochę pary i pyłku. Zdeptał wzdłuż i wszerz Europę i nigdzie go nie zdobył, ani w pośród ociężałych Germanów, ani u samolubnych synów Albionu, ani nad Dunajem, ani nad białą Elbą, ani nawet w szczęśliwej Szwajcaryi po nad jeziorem Tella. Biedny Nils, wytrzeźwiony ze złotych snów, powraca wreszcie do swej Dalekarlii, gdzie znalazł, jeśli nie kwiat cudowny, to przynajmniej ciszę domową i słodkie wspomnienia lat dziecięcych.

Marmier odmalował się sam w postaci Nilsa. Jak on, otrzymał w udziale duszę tkliwą, rozmiłowaną we wszystkiem co piękne i wielkie, jak on, nienawidzi samolubstwa, z boleścią patrzy na tysiące nędz ludzkich. Wcześnie też zapragnął uciec od smutnej rzeczywistości i niby jaskółka przed zimą, rozwinąć skrzydła do dalekich polotów.

Porwany tym prądem, wędrował Marmier, po cudzych morzach i lądach, a jak Nils do dalekarlijskich wybrzeży, tak on powrócił do gniazda swego u stóp Jura. Tu znęcony wonią swojskich macierzanek, zdeptał piędź po piędzi jodłowe lasy, grzbiety gór i parowy, zatrzymał się w każdej nieomal wiosce, zasiadał z wieśniakami przy ognisku, wsłuchiwał się w powieści starych górali, w pieśni wesołych prządek. Drogie te klejnoty rodzimej poezyi, zebrał w prześlicznych *Wspomnieniach z Franche-Comté*. Widzimy tu jak kwiat paproci uszczknięty w noc Świętojańską, daje temu kto go zdobył, mądrość i czarodziejską siłę. Inny biały kwiateczek zerwany pod śniegiem w dniu św. Sylwestra, wróży miłość i dolę złotą. Tam znów u zdroju żywej wody, wśród tymianu i wrzosów, kryje się złotowłosa boginka, tak lekka że leśne stokrotki nie zegną się nawet pod jej stopką, tak piękna, że kwieciste powoje, oplatają z miłością jej kibić i ramiona. Niekiedy przy blasku miesiąca, te czarodziejki pląsają po murawie, biada pasterzowi jeśli pociągną go w zaklęte swoje koło. Zaliż to nie nasze Rusałki pląsające nad Dnieprem, ożywione czarodziejską pieśnią Bogdana?

Marmier przyrosł sercem do leśnych gór i potoków rodzinnej ziemi, chciwy jednak życia umysłowego, a co więcej pamiętny zasady, komu wiele dano wiele też winien oddać drugim, zamieszkał stale w Paryżu. Kilkakrotnie uczczony akademicką nagrodą, wezwany do grona czterdziestu, zaniechał podróży i myślą tylko ściga zawołanych podróżników, dzieła ich popularyzuje w ciekawych rozprawach, dopełniając je przypomnieniem osobistych wrażeń.

Po klęskach Francyi, przed laty dziesięciu, aby podnieść serca, rozbudzić w nich wiarę i otuchę, skreślił Marmier piękny szkic historyczny o Robercie Brucym, tym bohaterskim królu Szkotów, który jak nasz Łokietek, długo staczał boje, długo łamał się z zawziętym losem, aż w końcu wywalczył utraconą koronę i odzyskał tron ojców. W energicznej przedmowie autor dowodzi bez ogródki, że jeśli Robert odebrał królestwo, dlaczegóżby Francya nie miała odebrać wydartej Alzacyi i Lotaryngii? Tu przypomina jak w wieku szesnastym, Karol V odstąpił od bram Metzu, przed płomienistym mieczem Gwizyusza.

Z boleścią ukazuje Francyą, siedzącą na popiele, wśród gromadki pozostałych dzieci i zawodzącą jak Rachel za temi, które jej wydarto. Nie traci przecież otuchy, prędzej czy później spełni się sprawiedliwość, ale na to potrzeba tej potężnej wiary co nie wątpi o niczem, tej żelaznej woli, co nie zrażona jedną, ani dziesiątą klęską, po każdej zbiera gruzy rozwalonego gmachu, dźwiga w górę cegłę po cegle, aż w końcu dokona budowy.

Tę wytrwałą pracę wybornie określa legenda szkocka. Brucy zwątpił o własnych siłach, pochylił głowę przygnębiony rozpaczą. I cóż dodało mu odwagi? Oto widok pająka, snującego wytrwale swoje włókno.

Promień księżyca przez okno wpadł,
Spostrzega Brucy pajęczy ślad,
Widzi od belki spuszcza się w dół:
Długo tkacz długo swój postaw snuł,
Wreszcie do wątku zabrać się czas,
Sprządz ma dwie belki... O! gdyby raz,
Słabiuchną tylko przerzucił nić!
— Biedny pająku, co tobie śnić?
Zawołał Brucy i wlepi wzrok;
Z zamachem pająk rzuca się w bok,
Zbrakło mu siły, daremny trud!
Znów się na nici waży jak wprzód,
I znów uderza i znowu zwisł,
Czyż go pajęczy odstąpił zmysł?
Nie zrażon próbą dobywa sił,
Już tkacz zuchwały u mety był,
Gdybyż cal jeden... oh! jeden cal!
I znów oczyma przemierza dal,
Gdybyż mu słabe skrzydełka mieć!
Rzuca się jeszcze... wtem pękła sieć...
Naprawia szkodę. . czas kończyć już,
Na dół, po nici spuszcza się wzdłuż,
Po dwakroć silny ponawia rzut.
— Biedny pająku, małoż twych złud?
Według sił mety łatwiejsze znacz!
On nie ustąpi wytrwały tkacz,
Z wysiłkiem mierzy do celu wprost,
Z belki na belkę zarzucił most!

Widzi to Brucy i otucha wstępuje w jego serce, zrywa się do nowych zapasów, w końcu odnosi *tryumf!*

Czynny umysł Marmiera, szuka wszędzie życia i ruchu. Zawołany podróżnik, pokazuje w wiecznej wędrówce tak świat fizyczny jak niemniej świat myśli i ducha. W książce wydanej parę lat temu, pod tytułem *Powieści popularne różnych krajów*, daje poznać ciekawe migracye myśli ludzkiej i drogi jakiemi rozbiegały się po świecie, w czasach kiedy nie było jeszcze ani druku, ani pary. Obok skandynawskich i teutońskich podań znajdujemy tu i owe klechdy podsłuchane niegdyś przez Woycickiego przy ognisku wieśniaków naszych, jak naprzykład o zajęczem sercu, wszytem w dzielną pierś, ręką złośliwej czarownicy. W tych wszystkich podaniach, drga taż sama iskra twórcza, mimo rozmaitych barw w jakie przystroiła je fantazya ludów, snać wszystkie z jednego wytrysły źródła. Słusznie też mówi autor: „też same powieści, któremi zachwycaliśmy się w dziecinnych latach naszych, czarowały wiele wieków temu dziatwę aryjską nad brzegiem rzeki Oksus i na pochyłych stokach Himalai! Bądźmy też wdzięczni erudytom, którzy wyświetlają wspólny początek tych podań i duchowe ich pokrewieństwo."

Wędrówki roślin, ptaków i zwierząt opisał Marmier w ostatniem dziele pod tytułem *Legendes de Plantes et des Oiseaux*. Na tym świecie, mówi on, wszystko podróżuje, wszystko żyje w bezustannym ruchu i wichry i obłoki, rzeki i morza, kamienne bryły, strącane z gór z wałem lodowisk, lub skrzydłem uraganu. Wędrują zwierzęta i ptaki z jednej strefy na drugą, stosownie do potrzeb fizycznych; wędruje przedewszystkiem człowiek, ułatwiwszy sobie środki lokomocyi. Ziemia wreszcie cała toczy się ze wszystkiem co jest na jej powierzchni i w jej wnętrzu."

Wyborna ta książka daje nam w dostępnej formie ciekawy rys życia drzew i kwiatów, ich koleje i przyrosłe do nich podania. Te legendy przytoczyliśmy przed rokiem w „Kronice Rodzinnej", nie będziemy do nich powracać. Równie zajmujące przygody ptaków, pełne scen dramatycznych jak naprzykład śmierć bocianicy, zadziobanej na gnieździe, za karę, że do jej piskląt wkradło się maleńkie gąsiątko. Do najpiękniejszych należy podanie o drobnej krasnoszyjce. W dniu męki Pańskiej, ptaszyna widząc Zbawiciela przybitego na krzyżu, w krwią ubroczonej koronie, uczuła żal głęboki. Cóż biedaczka poradzi na to? Chciałaby przynajmniej ulżyć panu w okropnej męce. Staje więc na gałązce cierniowej i z wielkiem wysileniem, chce wyrwać kolec utkwiony w Boskie czoło. Jakoż wydobyła go, ale ostry kolec rozranił jej pierś; trysła z niej krew czerwona. Wówczas to anioł przemówił do ptaszyny:

„Spełniłaś piękny czyn, słuszną więc otrzymasz nagrodę, nosić będziesz na piersi koronę ze krwi twojej i dziateczki ukochają cię całem sercem."

Od ptaków powietrznych, autor prowadzi czytelnika na dno oceanu. Ukazuje tam niezliczoną moc ryb, roślin i zoofitów. Ale najciekawsze dwa ustępy, streszczone z księgi angielskiego przyrodnika *de Vere*, godnie uwieńczają dzieło.

Są to wędrówki gór i roślin: dzieje geologicznych przewrotów opisane w popularny i nadzwyczaj zajmujący sposób i niemniej ciekawe migracye zwierząt. Pomijamy ten ustęp, zamierzamy bowiem dać go w osobnym przekładzie.

Wspomnimy tu jeszcze małą książeczkę tylko co wyszłą z druku, tytuł jej: *Poezye podróżnika*. Jest to zbiór pieśni, wyśpiewanych wśród dalekich po świecie wędrówek, to na śnieżnym wierzchołku irlandzkiej Hekli, to pod gorącym promieniem zwrotnikowego słońca. Poeta nie chciał rzucać na łup zimnej krytyki tych delikatnych kwiatów, to też przeznaczył je tylko na upominek dla przyjaciół, usuwając je z handlu księgarskiego.

Oto piosenka pomieszczona na wstępie, pod tytułem *śpiew* ptaszyny:

Na gałązce zielonej
Wiatr ptaszynę kołysze,
Wdzięczne pieśni jej tony,
Lecz ich piórkiem nie pisze,
Śpiewa sobie do syta,
Nikt piosenki nie czyta!

I ja w polu, czy w lesie,
Rzucam zwrotkę za zwrotką,
Wiatr na skrzydłach je niesie,
Jakże w sercu mi słodko,
Jeśli echo w oddali,
Moją piosnkę pochwali!

Niektóre mają świeżą barwę pieśni ludowych, snać autor żył z ludem wieśniaczym i umie śpiewać na prostą jego nutę, oto jedna z tych piosnek:

Huczy młynek, tam w dolinie
Kędy biegnie rzeczka,
A w tym małym mieszka młynie,
Hoża młynareczka.

Tam pokwila ptak radosny,
Gdy ściele gniazdeczko,
Gwarzą dęby, gwarzą sosny
Z piękną młynareczką.

Patrz... słoneczko rankiem padło
Na powierzchnię rzeczki,
Gładka woda, to zwierciadło
Hożej młynareczki.

Po murawie, nad potokiem,
Znam ja cichą steczkę,
Tak pobiegnę jednym skokiem!
Ujrzę młynareczkę!

Wśród tych urywków, znajdujemy przekłady z Ulanda, Runeberga, Tegnera, Andersona, ale najmilszym z poetów był jak widać dla Marmiera zmarły niedawno Longfellow. Długoletnia też przyjaźń łączyła oba te bratnie serca. Niegdyś śpiewak Ewangeliny przyjmował podróżnika francuzkiego, pod cieniem starych brzostów w Craigle-Houze. Marmier nie mniej gościnnie, przyjmował w domu swoim, siwego wieszcza amerykańskiego, gdy ten przed laty kilku odwiedził Paryż po raz ostatni. Pojmujemy łatwo wzajemny pociąg dwóch serc, złączonych ścisłym węzłem duchowego pokrewieństwa. Przekłady z Longfellowa, należą też do najpiękniejszych w całym zbiorze.

Dziwna sprzeczność serc i umysłów ludzkich. Marmier tak rozmiłowany w podróżach, tak chciwy coraz to nowych wrażeń, odkąd osiadł w Paryżu, lat temu z górą trzydzieści, przemieszkał w jednym domu. Co więcej siedmdziesięcioletni starzec przechował w sercu jedyne uczucie i pozostał mu wiernym. W latach młodości ukochał młodą Skandynawkę, pozyskał jej wzajemność. Niezłomne zapory stanęły im na drodze. Panienka oddała rękę innemu. Świat rodzielił ich: mimo to poeta ukrył w tajnikach serca swój niewyśniony ideał, wizerunek pięknej Elżbiety zdobi dotąd samotną jego pracownię!

CZEMU?

(Do piosnki.)

Czemu piosnko, snów królowo,
Tęskna nuta twa?
Czemu każde twoje słowo —
Gorzkie niby łza?

Czemu głos twój wśród tej głuszy,
Smutno echem brzmi?
I w zbolałej, tęsknej, duszy —
Zimnem ostrzem tkwi?...

Czemu ciasno ci w zagrodzie,
Że chcesz lecieć w dal,
By na wątłej życia łodzi —
Hulać pośród fal?...

Czemu raźno i wesoło,
Nie zadźwięczysz mi?
Bym radośniej spojrzał w koło
Jak za lepszych dni!

Dziś nadzieja uleciała,
Opadł marzeń kwiat,
Tyś zaś jedna pozostała
Z dawnych lepszych lat!

Więc raz jeszcze zadźwięcz mile
O marzeniach z róż,
O snach błogich co w mogile,
Co nie wrócą już!...

Kazimierz Lechnicki.

ODWET.

KARTKA Z ŻYCIA

przez

E. ZORJANA.

(Dalszy ciąg.)

III.

Po ostatniej, smutnej katastrofie przyszedł Wacław znowu do równowagi. Uspokoił się i nie żałował wcale przeszłego życia. Śmiał się nawet często, wspominając to życie i nazywał je rajem utraconym. Ale śmiech ten wiele miał w sobie sarkazmu, a gorycz, którą był zaprawiony dowodziła nie żalu wprawdzie za tą przeszłością, lecz przykrego wspomnienia zawodu na ludziach i życiu. Wszyscy dawni znajomi odsunęli się od niego, zapomnieli o nim, nie przyznawali się nawet, że go kiedyś znali. To go trochę bolało, a ból ten wylewał się goryczą. Ostro też teraz sądził ludzi i świat.

Nie raz w długich pogadankach z Bolesławem wypowiadał swe zapatrywania.

— Widzisz — mówił — miałem racyę twierdząc, że życie to pieniądze, w świecie nic darmo, wszystko trzeba opłacić. Masz pieniądze; cenią cię, lubią, ba nawet szanują, stracisz wszystko, przepadłeś. Moje doświadczenie mówi mi, że to niesłuszne, lecz niemniej prawdziwe.

— Wszystko, wszystko trzeba kupić, zapłacić— ciągnął dalej, jakby w zamyśleniu — nawet...

Urwał w pół zdania, bo uczuł, że mógłby tem wyrządzić przykrość przyjacielowi. Myślał w tej chwili o miłości. Chciał powtórzyć to, co niegdyś Bolesławowi mówił; dziś byłby dostał na odpowiedź przykład, na który patrzał z blizka: miłość Helenki.

Tak, miłość tę widział Wacław i dziwił jej się nawet. Wszak Bolesław nie miał ani majątku, ani wielkiej płacy, ani znaczenia wreszcie, a przecież Helenka go kochała, tak, jak pewno nigdy nikt nie kochał Wacława, gdy opływał w dostatki i rozrzucał pieniądze na zbytki, które nazywał koniecznym warunkiem miłości.

Patrzał z uwagą studyującego i dziwił się. Z początku nawet nie wierzył trochę, z dniem każdym wiary mu przybywało.

— To coś dziwnego, jak oni się kochają — mówił do siebie, patrząc na zakochanych. — Chciałoby mi się im zazdrościć.

Wacław bywał u państwa Studzińskich często. Od pierwszego wejrzenia podobał się wszystkim, a Helenka ze szczególną serdecznością go witała.

— Chcę, ażeby przyjaźń i serdeczna życzliwość zatarły jak najzupełniej przykre wrażenie, które mu pozostawiła niemiła katastrofa — mówiła do Bolesława.

— Dziękuję ci za to — odpowiedział, ściskając drobną jej rączkę, a pomyślał sobie: jaka ona dobra, i cieszył się tem.

Najbardziej podobał się Wacław pani Studzińskiej. Wspomnieliśmy już, że udawała ona zawsze niezadowoloną z losu i jakby żal miała do niego, że jej nie dał majątku i znaczenia. Śmiesznem to było w jej położeniu. Mąż irytował się tem, córka milczała, ale to nic nie zmieniało usposobienia matki. Narzekała często, a zgryźliwą była zawsze.

Wacław umiał także nieźle kąsać ludzi i społeczeństwo całe, a ostatnie przejścia dały mu nie mało doświadczenia i materyału do rozlicznych uwag.

Podobało się to pani Studzińskiej, wyciągała go więc na uwagi złośliwe i dowcipne. Wacław mówił od niechcenia i w duchu nie raz złośliwie się uśmiechał. Podpatrując wady i błędy drugich, nie tając własnych, z których szydził niemiłosiernie, nie mógł być przecie ślepym na to, co tak blizko widził przed sobą. Z każdym dniem wykrywał więcej wad w pani Studzińskiej i bawił się jej śmiesznostkami.

Studziński był safandułą. Takich w żadnej sferze nie brak, nic w nim zajmującego nie znajdywał Wacław, który się bawił z konieczności w obserwatora.

Za to tem lepsze wrażenie czyniła na nim Helenka. Pominąwszy już, że była dość ładna, że uśmiech młodości mile ku sobie pociągał najobojętniejszego, odkrywał w jej charakterze coraz to nowe zalety. A już nadewszystko podobała mu się jej miłość dla Bolesława.

Nieraz wśród najbardziej na pozór ożywionej rozmowy z panią Studzińską, rzucił okiem na młodą parę i dostrzegł wymianę spojrzeń, w których było coś dla niego zupełnie nowego.

To była miłość.

A on, który tak swobodnie, z taką pewnością mówił o miłości, tyle popisywał się doświadczeniem na tem polu, musiał przyznać, że dotąd ani doświadczył sam, ani nie widział nawet miłości.

— Jeżeli tak patrzy miłość — mówił sam do siebie — to tamto musiały być tylko miłostki, kaprysy, zachcianki...

A wówczas widział całą swą teoryę obaloną, to co dawniej mówił o miłości musiał przywiązać tylko do tych zachcianek, kaprysów; tej miłości na którą patrzał nie mógł podporządkowywać tamtym teoryom.

Miłość ta, miała dla niego niewysłowiony urok.

— Jakiś ty szczęśliwy—mówił do Bolesława— tak być kochanym i kochać, to musi być rozkosz wielka.

Bolesław cieszył się tem wyznaniem przyjaciela.

— Na to trzeba zasłużyć — dodał po chwili Wacław.

— Serce mieć trzeba i serca szukać w życiu, a szczęście takie łatwo znaleźć — odpowiedział Bolesław.

— Ba, drobnostka, serce trzeba mieć — zawołał z goryczą Wacław — łatwo to powiedzieć tobie, ale wiesz, że to przykro dla tych, którzy czy bez serca się urodzili, czy zgubili je gdzieś w życiu i czują pustkę straszną w piersi.

— Takim jestem ja — dodał po chwili.

— Żartujesz, serce ma każdy, tylko u jednych wcześniej u drugich później się ono odzywa. Zresztą, o sercu będziesz wiedział dopiero, gdy znajdziesz drugie, kochające.

— Zielone to winogrona. Za wiele ja miłości zawiniłem, za wiele na nią zsypałem szyderstw i drwin, abym się nie miał spodziewać zemsty. Czuję, że trzeba mi będzie przejść przez życie samotnie. Zamiast miłości i marzeń młodzieńczych, wyniosłem z życia poprzedniego spory zapas cynizmu, który jak podagra odezwie się na każdym kroku.

— Gorszym się malujesz, niż jesteś w istocie.

— Choćby i tak było, to źle. Bo kiedy stracę, aż do odrobiny wiarę w siebie i w tę lepszą stronę człowieka, to już ratunku nawet nie ma. Boję się, że plując wciąż na ludzi i na siebie żółcią, oślepnę zupełnie i wtedy nawet nic dobrego nie będę mógł zobaczyć.

— Więc nie pluj.

— Ba, kiedy to już taka stara nawyczka.

— Młody jesteś, a mówisz o starych nawyczkach.

— Przyznam ci się, że czasem tracę chęć życia i siłę. Nie wierzę w siebie.

Bolesław nie skąpił słów gorących, serdecznych, w których wlewał zachętę i dodawał odwagi. Z każdego słowa przebijała przyjaźń człowieka, który znał życie dobrze, znał drogi twarde, lecz znał i charaktery i umiał dobrą dać radę.

— Dziwnie dobrym dla mnie jesteś — mówił Wacław. — Niczem nie zasłużyłem na to.

— Któż o tem mówi? — przerwał Bolesław.

— Owszem, o tem mówić trzeba, bo ci wyznaję otwarcie, że tylko ta przyjaźń uratowała mi życie, wprowadza mnie w nowe i jej zawdzięczam wszystko. Ona mnie nawet, czuję to, pogodzić może z ludźmi, którym wierzyć przestałem. A jeśli co mi wlewa otuchę do życia, to widok wasz i waszej miłości. Jest to coś dla mnie tak nowego, a takie piękne, że tem tylko żyję. Może ten widok da mi nowe życie moralne, odbuduje to, com zburzył lekkomyślnością i wyzuciem się z uczuć.

— Teraz dopiero widzę — ciągnął dalej — że nie masz nic bardziej ożywczego na świecie, jak widok prawdziwego szczęścia. Obyście byli szczęśliwi — dodał ściskając dłoń Bolesława — potem, może i mnie się życie uśmiechnie...

Takim był teraz Wacław.

Plątało się w nim jeszcze wiele sprzeczności, które trudno było z sobą pogodzić, a jednak tak łatwe były do wytłomaczenia. To była walka przeszłości z teraźniejszością, przez którą nieraz już jaśniejsza przebijała przyszłość, dawne usposobienie, na które składało się wiele złośliwości i szyderstwa, jeszcze zawsze górowały w jego słowach i zdaniach, wiara w szczęście i uczucie prawdziwe, zrodzona na widok nieznanej nam dotąd miłości ujawniała się wtedy, gdy sam na sam z przyjacielem gawędził wieczorem.

Gawędy te lubili obydwaj. Bolesław w nich pokrewnił się duchem z przyjacielem, ten podnosił się, umoralniał. Coraz to więcej się ożywiał, odzyskiwał humor, odradzał się.

Wieczory te, były zarazem wypoczynkiem po całodziennej pracy. Młody hulaka teraz dopiero nauczył się cenić pieniądze, gdy poznał, ile to najmniejszy zarobek kosztuje pracy. Na bardzo skromne wyżywienie musiał pracować siedm godzin dziennie, a kiedy zmęczony trochę, spożywał w towarzystwie przyjaciela podwieczorek, zwykł był mawiać:

— Bez pracy nie ma kołaczy.

I śmiał się ze swego filozofowania.

Zresztą życie ich było takie: rano szli do bióra, każdy w inną stronę, bo Wacław pracował u jednego z architektów, na objad schodzili się w skromnej garnkuchni, potem trochę zajmowali się miejscowemi nowinami i czytali dzienniki, aby znowu niedługo wracać do pracy. Kiedy Wacław wracał do domu już Bolesława nie było, o tej porze szedł on zazwyczaj do Studzińskich. Skazany więc był młody rekonwalescent na samotność, bo dawnych znajomości musiał zaniechać, nowych nie pragnął wcale. Cóż było robić? Po części z nudów, po części może z rodzącej się nowej ciekawości, zajrzał do książek. Dawniej nie lubił, czy nie miał czasu czytać, teraz spróbował tej rozrywki i podobała mu się pierwsza książka. Po jej przeczytaniu wziął inną i ta była zajmującą. Zabrał się więc ochoczo do czytania i codzień nad książką spędzał kilka godzin.

Po dziewiątej wracał Bolesław.

Witali się zawsze serdecznie, jakby po długiem niewidzeniu i nigdy im nie brakło treści do rozmowy. To Bolesław opowiedział coś nowego, to czasem znów Wacław czegoś się dowiedział, lub opowiadał przyjacielowi coś z dawnego życia, pełnego wrażeń i rozmaitości. Ku końcowi rozmowa zawsze na jedno i to samo schodziła pole. Mówili o miłości.

Bolesław nie taił swego uczucia przed Wacławem. Zwierzał mu się z swych myśli i wrażeń, z trosk i radości, nieraz nawet pytał o radę, lub zdanie.

Cieszył się tą jego radością Wacław i szczerze, bardzo szczerze, życzył mu w duszy szczęścia. Powoli zaczynał wierzyć, że miłość nie pyta o karety i przyznawał, że żart jego o tej idylicznej chatce, od której nawet każą dziś płacić podatek, wcale nie był dowcipny.

Wierzył już w miłość i pragnął jej kiedyś dla siebie.

Tymczasem w zwierzeniach Bolesława, coraz więcej przebijało smutku i kilka nawet razy wyrwało mu się:

— Biedna dziewczyna!

Wacław nie wypytywał o bliższe szczegóły, o powody tego żalu, ale zaczął baczniej sam się przypatrywać, do czego dość częste bywanie u Studzińskich z Bolesławem, niemało mu nastręczało sposobności.

Trudno było nie spostrzedz zmiany.

Matka, która zawsze była jakaś sztywna i niezadowolona, teraz to ostatnie jeszcze bardziej uwidoczniała, a w głosie jej, ile razy się zwracała do Bolesława, odzywał się ton suchy, nieprzyjemny. Westchnienia częste i użalanie się na los, a narzekanie ciągłe na położenie, w którem życie przestaje być życiem, a takie wegetowanie podobne jest do zamknięcia się w trumnie, przeplatały rozmowę. W wysłowieniu przerażała napuszystość, odbijająca rażąco od prostych, skromnych sprzętów.

Głównie jednak całą rozmowę skierowywała do tego, jak to jest źle na świecie, kiedy się zawczasu nie obliczy z zasobami, a bieda zacznie dokuczać, jak na to trzeba bardzo uważać, osobliwie przy zawieraniu małżeństw, aby potem nie cierpieć niedostatku.

— Bo to młodzi ludzie najczęściej nie uważają na to wcale, lub nawet nie mają pojęcia o potrzebach życia — mówiła po raz już nie wiemy który. — Każdemu z nich zdaje się, że nic łatwiejszego jak ożenić się. Co potem będzie żaden nie myśli.

Wacław wiedział już do czego to zmierza.

— Proszę pani — odpowiedział — mnie się zdaje, że do małżeństwa przedewszystkiem potrzeba miłości, że o nią głównie pytać należy.

— A, naturalnie, naturalnie, ale nie wiem czy się kto na świecie najadł miłością?

— Bardzo pani realnie te rzeczy bierze.

— Bardzo rozsądnie. Ja panie, wiem co to życie i wiem, że miłość gardłem lezie jak nie ma co jeść, nie ma w co się ubrać.

— Mówiła pani przecież o ludziach młodych, a bodaj czy się to kiedy zdarzyło, ażeby dwoje młodych, aż głód cierpiało. Zapracować na życie można zawsze, jeśli się tylko do tego ma siły.

— Nie zawsze to tak jest, są ludzie, którzy sobie nie umieją poradzić i ani kroku naprzód nie mogą ruszyć.

— Tak źle nie jest, skoro nawet taki do niczego jak ja nie ginie z głodu, lecz własną żyje pracą — zawołał Wacław śmiejąc się.

— A, pan co innego.

— Jakto *co innego?* — zapytał Wacław — z tego mógłbym wnosić, że przyznając mi coś więcej zalet, ma pani kogoś innego na myśli, któryby na tem porównaniu stracił. Z góry jestem przekonany, że tym razem pani i myli się i temu komuś krzywdę wyrządza — dodał widząc wzrok suchy i nieżyczliwy pani Studzińskiej spoczywający na Bolesławie.

Urwano na tem rozmowę, a następnie mówiono o czemś innem. Ale Wacław już był rozburzony, nie mógł usiedzieć spokojnie. Patrzał to na matkę, to na Helenkę, która była smutna. Nawet zdawało mu się, że jej twarzyczka trochę przybladła. Ale może to tylko tak zdawało się. Bolesław był także milczący. Wacława to piekło.

Prędzej niż zwykle powstał żegnając się.

Gdy wyszli z Bolesławem, powiedział mu bez ogródki.

— Wiesz, ta stara wygląda mi jak cerber piekielny i nie wiem co jej się stało, ale jest z każdą chwilą przykrzejsza.

— Ja tego doświadczam już od dwóch tygodni przeszło.

Istotnie tak było.

Wacław w tym czasie nie był u Studzińskich, nie mógł więc spostrzedz zmiany.

— Cóż jej się u licha stało?

— Ba, gdybym ja wiedział.

— Czekajmy, zobaczymy — zakończył Wacław.

Milcząc szli dalej.

Jakoś tego wieczora mniej z sobą mówili, obaj byli zamyśleni. Myśleli o tem samem.

Kiedy już ciemno było w pokoju i cicho, zawołał nagle Wacław:

— Słuchaj Bolku, czy nie ma tam jakiego konkurenta do Helenki?

— Nie widziałem dotąd nikogo. Wczoraj mi tylko Hela mówiła, że jakiś pan Winiarski zajął mieszkanie obok i był z wizytą u nich, ale jej wtedy w domu nie było.

— Głowę w zakład stawię, że tej babie już się nowy sąsiad podobał i na niego zagina parol. Za dni kilka pójdę znowu z tobą, podpatrzę wszystko.

— Nie uwierzysz Wacławie jak mi przykro, jak się obawiam.

— Dajże sobie pokój. Obawiać się nie ma czego. Nic złego się dotąd nie stało, a bądź pewny, że i nie stanie. Ona cię kocha, a znowu tak ła-

two nie żeni się pierwszy lepszy sąsiad. Dobranoc ci.

— Dobranoc.

Następnego dnia wrócił Bolesław od Studzińskich jeszcze smutniejszy.

— A co? — zapytał Wacław.

— Źle. Licho nadało tego jakiegoś Winiarskiego.

— Więc przecie on?

— Naturalnie. Matka cały wieczór o nim tylko mówi. Już widziała przez okno jak on pięknie się urządził, z jakim gustem, jakie kosztowne ma meble, a jaki sam przytem przystojny i dystyngowany. Już nawet wie ile ma rocznej płacy.

— Ileż ma ten Krezus, który ją tak olśnił.

— Tysiąc pięćset reńskich, a dodała zaraz z przekąsem, że inny to i za dziesięć lat tego się nie dochrapie.

— A to baba! — wykrzyknął Wacław.

— Ah, jaki ja biedny jestem mój Wacławie — zawołał z żalem Bolesław.

— Ależ nie przesądzaj całej rzeczy przedwcześnie. Nic jeszcze straconego. Cóż Helena na to?

— A cóż?! smutna, coraz widoczniejsze na niej zmartwienie. Ja się o nią najwięcej obawiam. Biedna dziewczyna — dodał z większym jeszcze smutkiem.

— Ja tam tego pana Winiarskiego łatwo przepłoszę — odezwał się Wacław po chwili — ale cóż, jak się stara zagniewa, uweźmie, to nie wielka dla nas by z tego mogła być korzyść.

Obaj smutni zapadli w zamyślenie.

Co tu począć?

Stan taki trwał z górą dwa tygodnie.

Matka coraz była sztywniejsza dla Bolesława, co raz zimniej patrzała na niego i Helenkę, a w rozmowie nieustannie wspominała pana Winiarskiego, który już kilka razy był u nich, nigdy go Bolesław nie mógł tam spotkać.

Ile razy Bolesław chciał słówko szepnąć Helenie, zawsze matka argusowem śledziła ich wzrokiem i w tej chwili znalazła powód do przerwania im nawet rozmowy ócz.

— Helenko, podaj mi włóczkę.

Helenka szukała długo, aż w końcu włóczkę znalazła w koszyczku przy matce.

— Ma mama koło siebie — mówiła znalazłszy.

— No i cóż, przecież mogłam niewidzieć, a tobie ręce nie odpadną jak trochę dla matki poszukasz.

Helenka spuściła wzrok na robótkę, chciała ukryć łzę, która cisnęła jej się do ócz.

Bolesław nie mógł matce niczem dogodzić, pomimo, że starał się teraz o to bardziej niż kiedykolwiek. Powiedział co nowego, to usłyszał zaraz: już wiemy, albo co gorzej: pan Winiarski dziś mi to już mówił. Toczyła się w rozmowie jaka kwestya, ważniejsza czy też błaha, to Bolesław nigdy nie miał racyi. Coraz ostrzej ofukiwany starał się poddać zupełnie zdaniu pani Studzińskiej, ale gdy widział, że mu się to pomimo najszczerszych nie udaje chęci, zamilkł już prawie i całymi kwadransami milczał.

Ktoby teraz zajrzał w ten dom, dziwneby odniósł wrażenie. Dlaczego — zapytałby się — ci ludzie siedzą razem koło jednego stołu, kiedy się nie zgadzają w zdaniach i myślach, a niechęć ich od siebie odpycha?

Trudno im było się rozłączyć.

Mąż siedział jak milczący automat. Helena siedzieć musiała, bo była córką, której niewolno opuścić rodziców, Bolesław siedział dla Heleny i straszne znosił tortury.

Tak siedzieli razu jednego, kiedy wszedł niespodzianie Wacław, nie mówiąc o zamiarze przyjścia wprzód nawet Bolesławowi.

Przybycie to jakby łoskot drzwi obudził niby śpiących.

Od pierwszego rzutu oka poznał Wacław całą sytuacyę. Pozdrowił wszystkich jakby naprężenia nie uważał i rozpoczął rozmowę najweselszą.

Bolesław patrzał na przyjaciela ze zdziwieniem. W takim humorze dobrym dawno go nie widział. Jak tylko mógł pamięcią sięgnąć nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedy taki wyraz szczerej radości malował się na twarzy Wacława. Starał się go nawet wybadać o przyczynę wesołości, ale Wacław zdawał się nie uważać na jego zapytanie po cichu, tylko głośno opowiadał nowiny miejskie.

Usposobienie to Wacława powoli zaczęło oddziaływać na wszystkich. Nadspodziewanie nawet pani Studzińska zapomniała swej roli i pozbyła się chwilowo sztywności, która teraz tak nieprzyjemną ją robiła.

— Dlaczegoś ty dziś nie był na obiedzie? — zapytał, znalazłszy sposobność Bolesław.

— Owszem, byłem — odparł śmiejąc się Wacław.

— To chyba o innej porze, że cię nie widziałem.

— Nie tylko o innej porze, ale i w innem miejscu.

— Ah! — wykrzyknął ze zdziwieniem Bolesław.

Wacław śmiał się dziwnie jakoś serdecznie.

— Myślisz czym nie zapragnął wrócić do moich dawnych zbytkownych obiadów?

— Ty coś masz dziś ukrytego.

— Otóż, aby zaspokoić twoją ciekawość powiem ci, że choć nie zapragnąłem, byłem dziś na pysznym obiedzie i tak się doskonale ubawiłem, żem nawet nie mógł być po południu w biórze.

— Ależ z kim, gdzie? mówże — wołał Bolesław z ciekawością niepohamowaną.

— Bolku mój ciekawy — zaśmiał się Wacław.

— Przyznaję się.

— Otóż zaspokoję twą ciekawość. Wój mój rodzony, który był dotąd w Wiedniu przyjechał wczoraj, jako nowo mianowany szef budownictwa kolei. Dowiedział się natychmiast o mnie i dziś przyszedł sam do bióra, rozmawiał długo, a w końcu zaprosił na obiad. Nie mogłem się wymówić. Powiedział mi otwarcie: szkoda tego co straciłeś, ale kiedy się wziąłeś do pracy, to i tak dobrze. Cenię to w tobie i chętnie ci pomogę. Wkrótce postaram się o posadę dla ciebie u nas. Tam i lepiej płacą i przyszłość dla pilnych, a zdolnych wielka.

— To doskonale, świetnie, pozwól sobie powinszować — zawołał Bolesław.

— Czego jeśli i nam wiedzieć wolno — zapytała pani Studzińska, która z niewymowną ciekawością śledziła obu rozmawiających na uboczu.

— Zdarzenie dla Wacława bardzo przyjemne — odpowiedział Bolesław.

— A ty Bolku bardziej się tem cieszysz niźli ja sam — wtrącił Wacław.

Bolesław opowiedział wszystko.

(*D. c. n.*)

Korespondencya z Londynu.

Zagrażająca społeczeństwu ciągle zwiększająca się liczba zbrodniarzy i włóczęgów, nawet w pośród dzieci. — Towarzystwo wstrzemięźliwości. — Towarzystwo psychiczne. — Posąg Carlyle'a. — Zamierzona kanonizacya Tomasza Morus. — Teorya Symes'a. — Utwory dramatyczne Tennyson'a.

Niezałatwiona dotąd kwestya egipska, śmierć Gambety i przewidywanie następstw jakie pociągnąć może, słowem wszystkie drzemiące ale nagłem przebudzeniem grożące kwestye polityczne, maleją tu teraz wobec strasznej przyszłości zagrażającej całemu społeczeństwu.

Sędziwy Serjeant-Ballatine wydał dzieło, w którem opierając się na sumiennych wyrachowaniach prowadzonych w ciągu swej blizko sześćdziesięcioletniej praktyki adwokackiej, wykazuje że w tych kilku lat dziesiątkach zwiększało się nieustannie zuchwalstwo i działalność niebezpiecznych klas społecznych. To nieustanne pomnażanie się występków i zbrodni, przypisuje on zniesieniu deportacyi. Dawniej gdy kradzież gwałtowna karaną była zesłaniem do osad karnych w Australii, wygnanie to przerażało złodzieja i wiele dawało mu do myślenia. Musiał opuszczać kraj i wszystkich swoich, bez nadziei zobaczenia ich kiedykolwiek. Więzienia nie bardzo się obawia, bo wie że z najlepiej strzeżonego uciec można, a od pierwszej zaraz chwili zamknięcia w niem, znajduje rozrywkę i zajęcie w rozmyślaniu nad najpewniejszym sposobem prędkiego odzyskania wolności. A na nieszczęście nie ma ich gdzie wywozić, gdyż i kolonie i Australja już ich przyjmować nie chcą. W Kapie mieszkańcy zbuntowali się dowiedziawszy się o zbliżaniu pierwszej partyi wysłanych przez rząd złoczyńców i nie dozwolili okrętowi przybić do lądu w Kap-Town. Pozostawały więc tylko wyspy Andaman o których twierdzono, że są zamieszkałe przez plemię dzikie i okrutne, że dostęp do tych wysp niegościnnych tylko przez dwa miesiące w roku jest możebnym — co zapowiadało, że będzie to wymarzona miejscowość do urządzenia osady karnej dla niepoprawnych złoczyńców i zbrodniarzy wysłano więc w tym celu odpowiednią wyprawę. Jakież jednak było zdziwienie jej członków, gdy po trudnem wylądowaniu znaleźli się na wyspach leżących w rozkosznem położeniu, z gruntem urodzajnym. Najpierw wysadzono tu cipayów, którzy przyjęli udział w buncie powstałym w Indyach; strzeżenie więźni zupełnie było zbyteczne, gdyż tak byli zadowolnieni z miejsca pobytu, iż ani im się śniło o uciekaniu, a pragnąc pozostać tam na zawsze, najmniejszej nie mieli ochoty ustępować z wysp dla innych zasłańców. Dziś w Port-Blair rozwija się nader pomyślnie plantacya herbaty i nie ma mowy o urządzaniu tam osady karnaj.

Tak więc kwestya co robić ze zbrodniarzami dotąd pozostaje otwartą a społeczeństwu zagrażają nieustannie, nietylko dojrzali i młodzi, ale nawet dzieci stają się groźnem dla niego niebezpieczeństwem. Nauczanie obowiązkowe nie zdołały dotąd oddziałać dość skutecznie na młodych uliczników obojej płci, a młodzi mogący posługiwać się bronią palną, nie wahają się dawać ognia z rewolwerów do chcących ich aresztować.

Istniejący tu zwyczaj, aby każda mała czy liczna rodzina miała swoje *at home* to jest własne od-

dzielne zamieszkanie, ułatwia nadzwyczaj gwałtowne kradzieże, to też od pewnego czasu tak zwiększyła się liczba nocnych napadów, iż naczelnik policyi zmuszony był rozesłać po wszystkich okolicznych domach przepisy, jak mieszkańcy ich powinni w nocy zachowywać ostrożność, w celu strzeżenia domów od złodziei. Od jakiegoś czasu posługiwanie się rewolwerami nadzwyczaj się rozpowszechniło między złoczyńcami, gdyż korzystając z wywołanego wystrzałem przestrachu, zawsze prawie mogą uciec. Obecnie kradzieże z wyłamaniem stały się tu profesyą i jak one mają swoje ustawy, reguły i odpowiedzialności. Od lat kilku złodzieje nie wiążą się już w bandy jak niegdyś, ale kradną każdy oddzielnie, a tak nie mając wspólników nie zwierzają się nikomu ze swoich planów i nie lękają zdrady.

Sądy nie wiedzą co począć a i policya nie działa już tak śmiało i z taką ufnością w powodzenie jak niegdyś, kiedy to pochwycenie złoczyńcy wymagało tylko mniej lub więcej czasu. Zabicie policeman'a przybiegającego pojmać złodzieja wyważającego drzwi, zamordowanie małego grooma przybywającego z pomocą swemu panu, straszny rzuciły popłoch między mieszczan zamieszkujących przedmieścia Londynu. Owe śliczne małe *cottage* kryjące się wśród kwiatów, wykwintne ville otoczone rozległemi parkami, przestały być przybytkiem szczęścia i spokoju, gdyż nieustannie na groźne wystawione są niebezpieczeństwa, na które nie ma innej rady jak baczne czuwanie po nocach.

Książę Talleyrand powiedział kiedyś, iż naród angielski nie potrzebuje się obawiać najazdu cudzoziemskiego, dopokąd nie zbraknie żelaza na drągi, które rozpalone do czerwoności stanowią broń tak straszną, iż sam Mars, bożek wojny, uciekłby przed nią. Nie dawno dwie spokojne rodziny mieszczańskie skorzystały z tej rady i drągami rozpalonemi do białości, zmusiły do ucieczki nader śmiałych złodziei. Ale groźniejszą od tych napaści jest kolosalnie zwiększająca się liczba złoczyńców i ohydny cynizm z jakim w razie schwytania stają przed sądem: tu już nietylko o teraźniejszość ale o przyszłość lękać się trzeba. Pewien rozbójnik któremu udało się uciec z więźniami w Milbank, przyczem dał dowód niesłychanej zręczności i śmiałości, powiedział bez ogródki policymen'om, którzy schwytali go na ulicy, iż gdyby go byli aresztowali przed pół godziną, idący z nim wtedy kolega byłby strzelił do nich z sześcio-strzałowego rewolweru i pozabijał bez miłosierdzia.

Trudno wystawić sobie przerażenia jakie ogarnęło kilkomilionową ludność Londynu, na wiadomość o spisku wykrytym w więzieniu Dartmoor, a uknutym przez 1200 zamkniętych tam złoczyńców; zamierzali oni powybijać drzwi, wymordować dozorców i uciec razem.

Dartmoor-Jail jest to rozległy gmach zbudowany z kamienia, otoczony wysokim murem a więźniowie są czujnie strzeżeni we dnie i w nocy. Kamienne mury przegradzają celki, sufity są cementowane. Mimo to wszystko jeden z więźni potrafił zrobić sobie wytrych z kości danej mu na obiad baraniny, doskonale pasujący do zamku jego celi, wyuczył kolegów jak się mają wziąć do tego i dzięki temu pomysłowi więźniowie mogli odwiedzać się w celach i układać plan mordów i ucieczki.

Obok tych kradzieży i zbrodni spełnianych przez ludzi dojrzałych i dorosłych, straszną dla społeczeństwa wróżbą jest wielka liczba złoczyńców wśród dzieci. Pomimo najgorliwszych usiłowań nadzorców nad biednymi i nieograniczonego poświęcenia komissyi czuwających nad nauczaniem elementarnem, włóczą się po ulicach obdarte i zgłodniałe dzieci, liczniej może niż kiedykolwiek i pod tym względem koniec XIX wieku nader jest podobny do jego początku. Ludność i nędza zwiększa się niepomiernie, brak religii i moralności coraz groźniejsze zapowiada burze. Szczęściem miłosierdzie przychodzi z pomocą zagrożonemu społeczeństwu, a zasoby jego są tu niewyczerpane. W każdej dzielnicy pozawiązywały się stowarzyszenia dostarczające dzieciom chodzącym do szkół zdrowego i obfitego pożywienia. Mniemano z początku, że będzie to dostateczny środek zachęcenia ubogich dzieci do uczęszczania do szkół — aż tu bakałarze zaprotestowali przeciw przyjmowaniu do nich dzieci okrytych łachmanami, gdyż odstręcza to inne ubrane przyzwoicie, co dało powód do zawiązania innych znów stowarzyszeń, których zadaniem zaopatrywanie biednych uczących się dzieci w potrzebne ubrania. Niestety! pauperyzm rozwielmożnia się zastraszająco w niższych warstwach społecznych i niepodobna nawet włożyć na nie obowiązku żywienia i przyodziewania ich dzieci.

(*D. c. n.*)

Pogadanka.

„Publicznego szacunku ten tylko bezpieczny,
Kto cnotliwie pracując ludziom pożyteczny."

Powiedział J. U. Niemcewicz a słowa te zastosowujemy dziś w całej pełni nie do jednego człowieka, lecz do całego stowarzyszenia.

Mamy tu na myśli „Towarzystwo pomocy naukowej dla księstwa Cieszyńskiego", którego dziesięcioletniej działalności poświęcił p. Stanisław Bełza osobne dziełko. Fakt ten dowodzi, że autor przywiązuje do działalności Towarzystwa wielką wagę.

Towarzystwo to zajmuje stanowisko ogromnej wagi.

Od lat kilkunastu praca około oświaty nie ustaje i coraz bujniejszy wydaje plon. Towarzystwo naukowej pomocy zjednało sobie w tym względzie niespożyte zasługi.

Pisząc te słowa z obowiązku sprawozdawcy, dodajemy jeszcze, że królestwo, które tak chętnie niosło pomoc głodnym Szlązakom, przez niewiadomość pewno nie wspierało dotąd „Towarzystwa pomocy naukowej". A pomoc ta potrzebna bardzo. Cel towarzystwa zacny a przyjść mu w pomoc nie trudno — potrzeba rocznie dać tylko rubla! Ziarnko do ziarnka, uzbiera się miarka — a ile z tego dobrych dojrzeje owoców.

Pisma nasze powinny gorliwie tę sprawę poprzeć — niektóre już to nawet uczyniły.

Zatrzymamy się jeszcze na chwilę u kresów. Oto dzienniki donoszą, iż z nadchodzącą wiosną ożywi się ruch wychodźtwa do Ameryki z księztwa Poznańskiego. Już dziś mamy tego dowody. Emigracya liczy się corocznie na tysiące — a czy to dobre?

Ameryka uczy nas wielu rzeczy dobrych i pożytecznych, lecz lepiejby z nich korzystać tu, w kraju, aniżeli po rozum czy złoto jeździć za morze. Owe bajeczne wypadki bogacenia się za oceanem już minęły bez powrotnie, a dola naszego chłopka wielkopolskiego, w pośród kupczących Amerykanów nie złota wcale.

Powiedzieliśmy, że Ameryka uczy nas wielu rzeczy. Bo czegóż tam nie wymyślają?!

Oto świeżo donoszą, iż jenerał Bugles wynalazł sposób sztucznego wywoływania deszczu. Wynalazek ten będzie niezawodnie wkrótce wypróbowany i rozpowszechniony po świecie. Jeśli się eksperyment uda, pożytek ztąd w czasie posuchy ogromny. Ale też i figle ludzie sobie ptatać gotowi.

Zawistny sąsiad urządzi sąsiadowi deszcz w chwili, kiedy ten będzie chciał grabić siano, albo zboże, odpalony znów konkurent, upatrzywszy, że nielitościwa jego ubóstwiana wyszła na przechadzkę bez parasola, gotów zniszczyć sukienkę i nowiuteńki kapelusik!...

Zresztą deszcz sztuczny przyjęlibyśmy od Amerykanów, byleśmy nie wzięli od nich rzeczy złych i szkodliwych.

Oto obecnie np. wysela Ameryka liczne zwolenniczki tak zwanej emancypacyi kobiet do Europy dla szerzenia tej niby liberalnej propagandy. Jak mi Bóg miły, śmiać się chce z tej emancypacyi i wreszcie wierzyć, że tam w Ameryce i na zachodzie Europy, kobiety dotąd żyły w niewoli. U nas było i jest inaczej. Kobieta niewolnicą nie była nigdy, zajmowała zawsze stanowisko jej należne a godne i o emancypacyi nie było mowy. Nikt u nas nigdy kobiet nie poniżał, nie niewolił, więc też nie marzyły o emancypacyi. Miały prawa ludzkie takie same jak mężczyźni — a więcej człowiek na ziemi pragnąć nie może.

To też mieliśmy zacne matrony, żony pełne ofiarności i poświęcenia, córki i siostry, które poezya podniosła do ideału. Obok Grażyny, Aldony, Maryi, Zosi, utworzył się ideał kobiety, o której mówi nieśmiertelny Zygmunt:

„A gdy z twych natchnień i mąk i łez mnóstwa,
Wybłyśnie w końcu święty obraz bóstwa,
I twarz ci zleje światłem wiecznotrwałem,
Gdy na twem bladem, marmurowem czole
W wieniec się mocy splotą życia bóle —
Wtedyś pięknością, wtedyś ideałem!"

I możnaż tu jeszcze mówić o śmiesznej zagranicznej emancypacyi? Podobno nikomu by to na myśl nie przyszło. Na zachodzie wybryki emancypacyi przetwarzają się aż w monstra czasem.

W szpaltach dzienników notują już wypadki pojedynków pomiędzy kobietami, namiętnej gry w Monte Carlo i samobójstwa po zupełnem zgraniu się!

Nie, zaiste nam takiej emancypacyi nie trzeba!

Lecz idźmy dalej.

W społeczeństwie naszem ofiarność jednostek znaczy ogromnie wiele, wydaje ona liczne owoce, które się nieraz później dopiero ukazują.

Faktów świadczących o głębokiem poczuciu do obowiązków obywatelskich, mamy wiele, a ileż to jeszcze można ich co dnia niemal dopisać. Ofiary jednostek przynoszą korzyść same przez się, a pośrednio przyczyniają się, jako zachęta wielce do ofiar innych. Często za przykładem jednostek idą dopiero całe grona i stowarzyszenia.

Dwa tu godne uwagi zapiszemy fakta.

Oto zapewniają nas, że *ks. biskup Gintowt* ofiaruje dla użytku ogółu swą bogatą bibliotekę i galeryę obrazów w Płocku. Ma to być pamiątka dla miasta, które zacny ten kapłan ma wkrótce opuścić. Na wiadomość o tym zamiarze pospieszył natychmiast jeden z obywateli miasta z chęcią przyczynienia się do tego daru, ofiarując lokal na pomieszczenie zbiorów.

Czyż to nie piękne!

W Kole (gubernia Kaliska) znów otwarto uroczyście bibliotekę publiczną, urządzoną staraniem całego grona ludzi, dbających o dobro ogółu. Będzie to bezwątpienia bardzo silna dźwignia intelektualnego życia na prowincyi — a trzeba jej bardzo.

Gdybyż tak inne miasta poszły za przykładem Koła. Zyskalibyśmy przez to koło ludzi inteligentnych, powiększające się ciągle, pociągające potęgą światła innych, stojących w ciemności, za obrębem tego koła!

Przykro nam, że z obowiązku musimy donieść o smutnym stanie niektórych „gospód chrześciańskich”. Oto w powiecie Płońskim zamknięto jedną taką gospodę w roku ubiegłym, a obecnie na to samo się zanosi i w drugiej. Dnie gospód w innej okolicy są policzone, a jak pisma donoszą karczmy tamże pomyślnie kwitną.

Kto tu winien?

Miejmy nadzieję, że znajdą się gorliwi, którzy podniosą ciemnych. Jeden upadek nie stanowi przegranej. Jedno światełko zgaśnie, a dziesięć zabłyśnie. Bez optymizmu, ale z dobrą wiarą trzeba pracować i w pracy iść naprzód.

Tak robi towarzystwo osad rolnych.

Obecnie uzyskało już zatwierdzenie ustawy dla przytułków rolniczo-rzemieślniczych i działalność swą korzystnie rozwinęło. Wiele tu będzie zależało od powodzenia odczytów na rzecz osad rolnych, których szereg wkrótce się rozpocznie. Dochód z nich da podstawę materyalną do pożytecznej czynności towarzystwa.

Nie wątpimy, że rezultat nie zawiedzie oczekiwań i pragnień.

Podczas kiedy na prowincyi krzątają się około zawiązywania spółek rolniczych, w Pułtusku podpisują kontrakty spółki rozporządzającej zaraz w początkach kapitałem 73,600 rubli, w Warszawie będziemy mieli zjazd rybacki.

Jak wiadomo gospodarstwo rybne, rzeczne i stawowe, podniosło się w ostatnich latach bardzo. Około podniesienia tegoż pracują gorliwie nie tylko u nas, lecz w całej Europie. Myśmy może pod tym względem jeszcze najmniej zdziałali. To też po zjeździe, który odbędzie się w Warszawie, spodziewają się nie małych korzyści. Zjazd ten zajmie się urządzeniem zarybienia Wisły i Niemna łososiami.

Projekt to arcy pożyteczny, w rezultacie pomyślnym przyczyni się do podniesienia bogactwa krajowego.

Rybołówstwo przynosiło w Polsce z dawien dawna dochód nie mały.

Rzecz naturalna, że każdy ma w tej chwili w pamięci różnicę pomiędzy *rybołówstwem* a łapaniem ryb... w mętnej wodzie...

Tymczasem, kiedy my będziemy Wisłę zarybiali łososiami, Rogoziński ze swymi towarzyszami płynie na południe po falach oceanu i z pokładu okrętu patrzy na wieloryby i delfiny...

Dlaczegobyśmy nie mieli sztuką zdobyć tego, czego nam nie dała natura?

Es. Zet.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Rade Th. Robinson meksykański, przygody, podróże i wypadki Robinsona w Meksyku, przełożył z angielskiego St. M. Rzętkowski. Warszawa 1882 r., z illustracyami.

Nieznanego pochodzenia młody chłopak nazywający się Robinsonem, przybrany za syna przez niejakiego Miltona puściwszy się wraz z nim w celach handlowych w głąb' krajów Meksykańskich, spisał swe przygody, jako też zwyczaje i obyczaje ludów mieszkających na obszernych preryach i pampasach. Dziennik Robinsona, pełen nader zajmującch opowiadań przeplatanych wiadomościami geograficznemi i etnograficznemi, napisany jest żywo i budzi wiele ciekawości w młodych czytelnikach.

Wydanie staranne ozdobione jest licznemi pięknemi illustracyami.

Eden C. H. Ula, powieść z krainy Zulusów i Cetewaya, z angielskiego tłomaczył St. Ot. Lwów 1882 r.

Niedawno tocząca się krwawa wojna na południowym krańcu Afryki, ofiarą której padł jedyny syn Napoleona III, następnie pojmanie w niewolę i pobyt Cetewaya (Keczywaj) w Londynie nie mało zajęcia zbudziły w inteligentnej publiczności. Wojna z Zulusami i Boerami sprawiła, że zainteresowawszy się temi odległemi krainami, skwapliwie odczytywać poczęliśmy wiadomości dotyczące podróży odbywanych na południe Afryki. W ślad za opisami poszły różne dramatyczne utwory, komedye, operetki i t. d., mające za temat epizody z tej Angielsko-Zuluskiej wojny. Otóż w liczbie tych różnorodnych utworów pojawiła się w języku angielkim i powieść napisana przez C. H. Eden'a a literaturze naszej przyswojona przez St. Ot. pod tytułem „Ula”. Utwór ten właściwiej będący urywkiem z pamiętnika podróżniczego niż powieścią, w czytelniku budzi wielkie zajęcie, gdyż autor umiejętnie rozwija przed nim tak sam opis kraju Zulusów jako też i wypadki w których opowiadający miał udział. Nadzwyczaj barwnie i z niepoślednią siłą dramatyczną przedstawione są tu niektóre ustępy jak: napad na „laager boerów”, pożar stepu i inne. W opis kraju Zulusów i początkowej walki Anglików z Cetywayem wplecione są dzieje dwojga kochanków, którzy szczęście swe zawdzięczyli ostatecznie poczciwemu Zulusowi, Uhli mlecznemu bratu Wiliama.

Podróżnicza ta i etnograficzna romantyczna powieść, napisana z wielką umiejętnością, czyta się bardzo mile i śmiało daną być może do rąk dorastającej młodzieży, która odczytując ją, pomnoży swe wiadomości opisem kraju i zwyczai Zulusów.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** W odpowiedzi na pomieszczone w „Tygodniku” naszym Nr. 5 przykazania dla żon, przysłano nam wypisane ze starego pamiętnika domowego, dziesięcioro przykazania dla mężów, następującej osnowy:

1. Kochaj żonę więcej jak jej posag.
2. Nie przysięgaj jej kochając inną.
3. Sam się bawiąc, myśl i o jej rozrywce.
4. Kochaj ją i szanuj zaraz po rodzicach.
5. Nie trap jej bezzasadnemi wyrzutami.
6. Nie oszukuj jej.
7. Nie marnuj pieniędzy na karty.
8. Nie poddawaj się zbytecznie próżniactwu.
9. Nie uganiaj się za obcemi kobietami i zbyt często nie odwiedzaj piwiarni.
10. Nie pożądaj żony sąsiada mając własną.

Rada. Przykazania te należy każdemu mężowi raz na dzień odczytywać, a za najlepszy skutek poręczam.

*** Pisma codzienne doniosły o świetnem przyjęciu Deotymy w Poznaniu, gdzie w następstwie zaproszenia udała się dla wypowiedzenia trzech odczytów na dochód miejscowych instytucyi. Liczne koło obywateli i literatów, żegnało poetkę ucztą na jej cześć wyprawioną; wnoszono na niej wiele różnych toastów, a na każdy autorka „Polski w pieśni” odpowiadała wierszem. Na przemówienie p. Wł. Taczanowskiego odpowiedziała nader zręczną improwizacyą, pełną głębokiej i poważnej myśli.

*** Od kilku tygodni w zakładzie malarstwa na szkle i porcelanie hr. Łubieńskiej znajduje się kilkonastoletni włościanin z pod m. Staszowa, który party siłą wrodzonego talentu opuścił chatę rodzinną chcąc kształcić się w sztuce. Znawcy, którzy oglądali rysunki tego samouczka, wróżą mu śmietną przyszłość, jeżli nie zbrakie mu środków gruntownego wykształcenia wrodzonych zdolności. Nie wątpimy, że znajdzie się jakiś możny mecenas, który dopomoże biednemu chłopcu, który może stałby się chlubą polskiej sztuki.

*** Nader rzadko wypada Wielkanoc tak wczesna jak w tym roku. Obchód jej dnia 25 marca przypadał tylko w latach 1663, 1674, 1732 i 1742 w wieku XIX przypada obecnie po raz pierwszy, Koncylium Nicejskie postanowiło, iż święto Zmartwychwstania nie może być obchodzone wcześniej jak dnia 22 marca. W dniu tym uroczystość ta przypadała dotąd tylko cztery razy, mianowicie w latach 1598, 1693, 1761 i 1818. Najpóźniej Wielkanoc przypadać może d. 25 kwietnia i w tymże dniu święcono ją w 1666 i 1734 r. i w tymże obchodzoną będzie w r. 1886. Starodawne łacińskie wróżby powiadają, że lata w których jak w b. Wielkanoc przypada na św. Marka lub jak w 1886 r. na św. Wojciecha, mają być widownią niezwykłych wydarzeń.

*** Śmierć Wagnera nastręczyła wszystkim niemal pismom niemieckim do przypominania różnych krążących o nim anegdotek, z których wiele, jeżli prawdziwe, zdradzają niesłychaną jego zarozumiałość. Wiedeńskie znowu humorystyczne pismo „Bomba” zamieściło rysunek przedstawiający przybycie ducha Ryszarda Wagnera do nieba. Chór serafinów grając na harfach i śpiewając niebiańskie melodye, wita pokłonem mistrza, który wzruszony podobnem przyjęciem, woła: „Wspaniale! świetnie! tylko uprzedzam was, że co

do muzyki, to bez bębnów i trąb nie daleko zajdziecie."

⁎ Pani Ostrem otrzymała w Finlandyi stopień doktora filozofii i zarazem pierwsza z kobiet wybraną tam obecnie została deputowanym z okręgę teriokskiego i w charakterze tym przyjmie udział w obradach przedwstępnych do mającego zebrać się wkrótce sejmu finladzkiego. Pierwszy to nietylko w Finlandyi ale i w Europie przykład wyboru kobiety do zgromadzeń narodowych.

⁎ Przed parą tygodniami zmarł w Bolonii Józef Regaldi, członek i opiekun Akademii Mickiewicza, gorący wielbiciel naszego wieszcza i naszej literatury.

⁎ Na południe Kiachty, najszerokiej piaszczystej równinie zaledwie porosłej trawą, wznosi się pierwsze od granicy rosyjskiej prawdziwie chińskie miasto zwane Majmaczyn — jedyne w swoim rodzaju, gdyż nie ma w niem ani jednej kobiety.

Mai-ma-czin (znaczy po chińsku targowisko), liczy 3,000 mieszkańców, wyłącznie mężczyzn. Tak w domach jak na ulicy nie zobaczy nikt śladu kobiety, nie usłyszy szczebiotu dziecka... A przecież wielu z mieszkańców mają żony i rodziny, ale daleko, we właściwych Chinach, gdyż rząd chiński z obawy, aby zepsucie obyczai sąsiadów nie udzieliło się jego niebieskim poddanym, najsurowiej zabronił kobietom mieszkać w Majmaczynie. Wstęp do miasta dozwolony jest tylko kupcom do interesów handlowych a mieszkańcy uważają się za czasowo tylko przebywających choćby posiadali tu własne domy i dziesiątki lat przebywali. Jeźli któryś z mieszkańców pragnie odwiedzić rodzinę, musi odbyć podróż przez pustynię, co najmniej trwającą miesiąc tam i drugi z powrotem — co jest nader męczącem i kosztownem i dlatego mało kto i rzadko tylko odważa się na nią. Mężczyźni mogą niekiedy odwiedzać mieszkających tu krewnych, ale żadna kobieta pokazać się nie może, bo u bram miasta pochwyciłaby ją natychmiast straż władzcy niebieskiego państwa i wyprawiła daleko.

⁎ Dnia 6. maja r. b. nastąpi całkowite zaćmienie słońca, zaliczające się do największych w bieżącem stuleciu. W Europie jednak widzialnem nie będzie, gdyż całość jego ześrodkuje się po nad Oceanem Spokojnym. Zaćmienie to najlepiej obserwować będzie można na wyspie Karolinie, położonej o trzy stopnie na północ Taiti, astronomowie obiecują sobie, iż przy tej sposobności zdołają zbadać lepiej ciało słoneczne i najbliższe jego otoczenie. Wiele państw a szczególniej Ameryka i Francya, wysełają tam wielkie wyprawy naukowe. Przychylając się do zaproszenia Akademii francuzkiej, przyjmie udział w wyprawie adjunkt obserwatoryum wiedeńskiego, p. Palisa, sławny z odkrywania planet. Pieniędzy potrzebnych na koszta podróży dostarcza mu cesarz Franciszek-Józef, ministeryum oświaty i Akademia umiejętności. Wyprawa wyruszy dnia 6 marca z Saint-Nazaire we Francyi, stamtąd do cieśniny Panama, którą przepłynie, w Panamie przesiedli się na francuzki okręt wojenny „Eclaireur", który dowiezie ją wprost do stacyi obserwacyjnej w Karolinie (małej wyspie w pobliżu równika), zkąd po ukończeniu obserwacyi, odpłyną do San Francisco, w Kalifornii, a ztamtąd już członkowie wyprawy razem lub oddzielnie powrócą do Europy. W wyprawie przyjmie także udział dyrektor obserwatoryum w Rzymie, p. Tachini i jeden z astronomów angielskich.

⁎ Z Ameryki północnej donoszą o strasznej klęsce, przewyższającej niemal wszystkie tak liczne w obecnych czasach świat dotykające, to jest o zapadnięciu się Wilkesbare jednego z najważniejszych przemysłowych miast Pensylwanii. W nocy 21 lutego domy zaczęły się zapadać, a przerażeni mieszkańcy w nieładzie z nich uciekali. Zapadanie następowało jednocześnie na przestrzeni 20 akrów i na 20 stóp głębokości; domy znikały pod ziemią jak w dekoracyi teatralnej, szczęściem jeden tylko się wywrócił. Przyczyną wypadku było to, że miasto Wilkesbare zbudowane zostało na miejscu dawnej opuszczonej kopalni, rozciągającej się pod ziemią na ogromnej przestrzeni. Skorupa ziemi utworzona nad tą próżnią, nie była dostateczną do utrzymania ciężaru miasta, zapadła się więc, pociągając za sobą wszystkie zbudowane na niej domy. Po wyczerpaniu i opuszczeniu kopalni, podparto wyższą warstwę ziemi drewnianemi słupami — okolica ta była wówczas niezamieszkaną pustynią; następnie w tejże miejscowości stanęło miasto; nie domyślając się stanu rzeczy pobudowano wielkie gmachy, jak gdyby na skorupce od jaja. Nie sprawdzono jeszcze gruntownie przyczyn zapadnięcia, w każdym razie wnosić należy: że albo strawione wilgocią słupy nie były w stanie dłuższego stawiać oporu, lub też że przepalił je od lat kilku szerzący się w kopalniach pożar. W domach zapadniętych mieszkać niepodobna, setki rodzin nie mają się gdzie podziać; reszta mieszkańców okropnem zdjęta przerażeniem, oczekuje każdej chwili tejże samej katastrofy

⁎ Doktor Klinke, z Westfalii, bawiący obecnie w Poznaniu, osięgnął prawdziwie zdumiewające rezultaty pod względem usuwania jąkania. Wielu bardzo silnie jąkających się, po trzechtygodniowej kuracyi mówią zupełnie płynnie. Jednakże po pewnym czasie jąkanie powraca, jeźli kuracya prowadzoną jest za krótko; często po kilku dopieru miesiącach można odstąpić od reguł, które przez cały czas leczenia się ściśle zechowywać należy. Pragnących więcej szczegółowych w tej kwestyi objaśnień, odsyłamy do artykułu d-ra Klinke, napisanego gruntownie i wyczerpująco i pomieszczonej w pierwszym tegorocznym numerze „Pädagogisze Blätter." Autor dowodzi że jąkanie wypływa z nienoralmnego oddychania i pewnej wady organów głosowych, a następnie rozbiera szczegółowo całą metodę leczniczą. „Celem moim jest, mówi dr. Klinke, aby jąkającym się dobra wymowa stała się nie drugą ale pierwszą naturą." Warto byłoby aby które z poważnych pism naszych, zamieściło w szpaltach swoich przekład tego artykulu.

⁎ W głębi Indyi, w miejscowości pełnej olbrzymich ruin, mieszka pewien Radża posiadający tak bajeczny majątek, iż może zadawalniać najdziwaczniejsze zachciewki swej bujnej wyobraźni. Nauczyciele wpoili w niego przekonanie iż są na świecie daleko piękniejsze kobiety niż jego rodaczki, zapragnął więc aby w sypialni strzegły snu jego posągi: greczynki, hiszpanki, włoszki i paryżanki, obok łoża niesłychanie wspaniałego, zaopatrzonego w instrument muzyczny, wykonywający melodye europejskie. Wysłał do Paryża przyjaciela swego, który bogate to łoże zamówił w jednym z wielkich zakładów — obecnie zostało wykończone. Pełno na niem profilów indyjskichi i dziwacznych krzywizn wschodnich, pomieszanych z współczesnemi ornamentami francuzkiemi. Wyrobione jest z palisandru, bogato inkrustowane srebrem i ozdobione rzeźbionemi bukietami bratków, róż i kłosów, najdziwaczniej z sobą poplątanych. Herby i insygnia zajmują cały bok łóżka od strony głowy. Samego srebra i złota użyto do ozdób za 18,000 fr. a całe łoże kosztuje 60,000 fr. Młody Radża żądał aby posągom piękności europejskich, nadano wszelkie pozory życia, wyszły one z pod dłuta utalentowanego rzeźbiarza, p. Coutan, po odlaniu z bronzu nadano im kolor ciała ludzkiego i dodano ruchome oczy i peruki z włosów czarnych, blond, szatyn i rudych. Kobiety przedstawione są w postawie pochylonej ku łożu, z jedną ręką wspartą na biodrze, a drugą wzniesioną powiewają wachlarzami z białych piór. Cały ich strój stanowią bransolety. Kładąc się na łóżku, przyciska się sprężynę ciężarem ciała i wtedy rozlegają się dźwięki muzyki Gounoda. Zakrawa to na bajkę z *Tysiąc nocy jedna* a jednak jest najzupełniej prawdziwe.

Zawiadomienia.

Polki wyjeżdżające do Paryża, celem wykształcenia się w obranych przez siebie zawodach mogą znaleźć u jednej z rodzin polskich w tem mieście mieszkanie ze stołem, usługą i prawdziwie rodzicielską opiekę. Bliższą wiadomość o warunkach nader przystępnych, można powziąć w Warszawie w Redakcyi Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci Widok Nr. 3.

Roboty te ogłaszających się osób przedstawione były w Redakcyi i są tak ładnie, starannie i umiejętnie wykonane, że do życzenia nic nie pozostawiają, widok Wilanowa uskutecznioy czarnym haftem na tle jasnem jest rodzajem arcydzieła w swoim rodzaju, który w oprawie, każdego salonu ozdobę stanowić może.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою, Варшава 15 Февраля 1883 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego,** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 9, r. 1883.

ELIANA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez panią A. CRAVEN,

Przekład

K. P.

TOM DRUGI.

(Dalszy ciąg.)

Długo trwała rozmowa dwóch braci i o ile można było wnosić z niektórych przez zamknięte drzwi dochodzących wyrazów, była nader ożywioną i gwałtowną. Raynold domyślał się o co chodziło i odgadywał rezultat; w sercu jego budziło się głębokie współczucie dla nieszczęśliwego mistrza, oburzenie na jego brata i żywe zajęcie się losem Hersylii, podwojone niepokojem jaka czeka ją przyszłość, jaką obierze życia drogę.

Długo czekał w gabinecie, nareszcie ciężkie kroki Taddea dały się słyszéć w przedpokoju, poczem tak gwałtownie zatrzaśnięto drzwi że aż okna się zatrzęsły, i jednocześnie niemal signor Biagio stanął na progu gabinetu.

„Przebóg! co ci się stało? krzyknął Raynold biegnąc ku biednemu swemu mistrzowi, który ręką przyciskając szybkim oddechem podnoszące się piersi, słowa przemówić nie mógł. Wsparłszy się na ramieniu Raynolda, starzec zaledwie zdołał dojść do swego fotela — kilka chwil panowało milczenie. Nareszcie sina bladość pokrywająca twarz jego, zaczęła znikać powoli — przemówił — ale pierwsze zaraz wyszeptane słowa, stały się dla ucznia jego nader bolesną niespodzianką.

— Rinaldo, rzekł wysiłkiem woli, trzeba nam się rozstać i pożegnać... oddal się natychmiast, przyjacielu, i nie wracaj więcej.

— Oddalić się!.. nie wracać!.. co chcesz powiedzieć przez to, signor Biagio?

— Żebyś odjechał... i nigdy... nigdy tu nie wracaj więcej. Czy słyszysz?

— Słyszę ale nie rozumiem.

— A więc mówię wyraźnie... Jeźli dbasz o mój honor i reputacyę Hersylii, niech nigdy już noga twoja nie postanie w moim domu.

Raynoldowi krew uderzyła do głowy.

— Któż śmie podobne budzić podejrzenia i uważać mnie zdolnym do popełnienia podobnej nikczemności? zawołał unosząc się

Starzec skinął aby się uspokoił, przyciskając jednocześnie ręką gwałtownie bijące serce:

— Ach! przebacz mi, biedny, ukochany mój mistrzu! zawołał przerażony Raynold, uspokój się... nie mów teraz do mnie... będę ci ślepo posłusznym... rozporządzaj mną, wskaż jak mam bronić ciebie, jaką ją otoczyć opieką?..

I w uniesieniu ukląkł przed starcem; Biagio położył rękę na jego głowie:

Niech cię Bóg błogosławi, wyszeptał; ale nie możesz nic... nic... jak tylko oddalić się na zawsze.

Raynold pochylił w milczeniu głowę pod tem ojcowskiem błogosławieństwem, i wyrzucając sobie że uniesieniem swojem wywołał tak silne wzruszenie starca, powstał milcząc i dopiero gdy atak spazmatyczny minął i mistrz się uspokoił, poraz ostatni spojrzał na niego i na wszystko do koła, na to ciche ustronie które opuszczał z niewymowną boleścię i powoli wyszedł z pokoju.

Spotkawszy we drzwiach Assuntę, polecił jej aby jak najtroskliwiej czuwała nad panem i zszedł ze schodów nadzwyczaj rozdrażniony i wzburzony.

Zrozumiał jak szatańską korzyść Taddeo Marini umiał wyciągnąć z obecności jego u mistrza, ale ani przypuszczał do jak hańbiących uciekał się przymówek i oskarżeń aby się pomścić za swoje niepowodzenie. Nie podlegało jednak wątpliwości, że chcąc dowieść przyjaźni i szacunku swego dla mistrza i jego córki, Raynold przynajmniej przez czas jakiś nie powinien bywać w pałacu Ara-Coeli — ale pozbawiało go to jedynej przyjemności, jedynego zajęcia. To też nigdy jeszcze może, od dnia w którym musiał się wyrzec szczęścia całego życia, nie czuł się tak osamotnionym, tak godnym pożałowania.

Mało bardzo spał tej nocy, a obudziwszy się nadedniem pierwszą jego myślą było jak dzień ten przepędzi? Codzienne to nawyknienie stało się niezbędną potrzebą, której utrata niecierpliwiła go do najwyższego stopnia.

Wstał późno i szukając rozrywki cały dzień spędził za domem. A tak łatwo w Rzymie o zbawienną rozrywkę; zdolną zarazem pocieszyć, podnieść i nauczyć! Wieczne miasto umie przemawiać tysiącznemi sposobami, i ten tylko mowy tej nie rozumie czyja dusza jest głucha, i dla której niedostępnem jest wszystko co piękne, wielkie, wzniosłe i święte.

Raynold nie zaliczał się do takich; dnia tego jednak wszystko mu było obojętnem, a myśl unosiła się ciągle ku staremu pałacowi do którego wstęp został mu wzbronionym. Stała mu ciągle przed oczami zmieniona boleścią twarz starego mistrza, i wstrętna postać nikczemnego impresaria. O Hersylii myślał ciągle z uwielbieniem, zajęciem i niedowierzaniem zarazem: po tysiąc razy zadawał sobie pytanie: czy nie zabraknie jej odwagi i siły woli aby postępować i stawiać opór nietylko naleganiom innych, ale własnej swej skłonności. Myśląc że w niedalekiej może przyszłości, jej młodość, piękność, talent i niewinność, stać się mogą pastwą niecnej frymarki nikczemnika, uczuwał dla niej pełną niepokoju litość i współczucie. Zdawało mu się że zacny mistrz jego niezdolny jest kierować nią i prowadzić, i uznawał że oboje są bardzo nieszczęśliwi, cierpiąc jedno dla *drugiego* i przez *drugie*.

Dzień miał się ku schyłkowi gdy wszedł do kościoła św. Piotra, wiedząc że uroczyste milczenie i wspaniały spokój tej wielkiej świątyni, jej doskonała harmonia, światło i wzniosła powaga, posiadają nadziemską władzę uspakajania i pociechy, której potęgi niejednokrotnie doświadczył.

Wszedłszy stanął za wielkim filarem i długo stał nieruchomy, a ciemność roztaczająca się w wielkiej nawie i po bokach kościoła, zaledwie dozwalała dojrzéć tu i owdzie gromadki wiernych i ciekawych, zmierzających ku drzwiom. Gdy po chwili on wyjść zamierzał, usłyszał dochodzący z głębi kościoła głośniejszy odgłos kroków i głosów i ujrzał zarazem gromadkę złożoną z kilku osób, (widocznie cudzoziemców) którzy zabawiwszy za długo wychodzili pośpiesznie.

„Trzeba nam się śpieszyć, gdyż księżna Hermiona ma być dziś w teatrze, więc obiad będzie wcześniej.”

Słowa te wypowiedziała prawie głośno jakaś pani odznaczająca się dystyngowanemi ruchami, ubrana czarno, ale nader wykwintnie. Nie zdawało się aby wspaniała świątynia wywarła na nią głębsze wrażenie; jednakowoż gdy inni szli ku drzwiom zatrzymała się chwilę i przyklękła; tylko pan jakiś stojąc zatrzymał się przy niej. Musiał to zapewne być mąż jej lub brat, gdyż zarówno jak ona był w grubej żałobie. Po chwili dotknął lekko jej ramienia, mówiąc: „Chodź, czekają na nas” Powstała prędko i oboje przeszli tak blizko filaru o który Raynold stał wsparty, iż długi tren nieznajomej dotykał go prawie.

Przyszedł tu aby znaléźć uspokojenie i odegnać męczące go myśli — jakoż musiały ustąpić przed niespodzianką jaka go spotkała, gdy poznał że te dwie przechodzące tuż koło niego osoby, była to Konstancya de Longvilliers i Horacy de Trévals.

V

To spotkanie, to widmo przeszłości wstrząsnęło gwałtownie sercem Raynolda. W pamięci jego wspomnienie Horacego i Konstancyi łączyło się ściśle ze wspomnieniem Eliany i wszelkich okoliczności będących powodem ich rozłączenia, i doznał w tej chwili takiego cierpienia jak człowiek któremuby gwałtownie oderwano plaster pokrywający jego ranę.

Ścigał ich czas jakiś wzrokiem, potem wsparł się łokciami na podstawie filara i ukrył w dłoniach twarz zalaną łzami, jakby się obawiał aby ich nie dostrzegło czyjeś oko.

Szlachetna i pełna niewysłowionego uroku postać Eliany stanęła przed jego oczyma.. czuł że ją kocha jak dawniej, miłością wielką, bezgraniczną i serce jego owładnęła takaż sama gorzka, straszna boleść, jak w pierwszej chwili rozstania.

Jeźli, jak to przypuszczają, dusze mogą niekiedy porozumiewać się z sobą jeszcze na tej ziemi, możnaby sądzić że w tej chwili dusza Eliany zwracała się do niego z prośbą, przestrogą lub pożegnaniem... Była to godzina ważniejsza w życiu Raynolda niż to przeczuwał, jedna z ostatnich może w których mógł jeszcze swobodnie rozporządzać swym losem.

Zciemniło się już prawie zupełnie i gdyby go nie rozbudził z zamyślenia brzęk kluczy w rękach strażników bazyliki, byliby zamnęli go w kościele. Wyszedł natychmiast, ale dopiero na świeżem powietrzu oprzytomniał i zapanował nad sobą.

Usiłował wtenczas otrząsnąć się z bolesnego wruszenia i szukając na to sposobu, zdał sobie sprawę poraz pierwszy z tej zmiany jaka od pewnego czasu zaszła w jego życiu. Nie zapomniał nic z przeszłości, czuł to aż nazbyt dobrze, gdy jakaś okoliczność przypomniała mu dni minione i rozjątrzała niezabliźnioną dotąd ranę, ale nie podpadało wątpliwości że w ostatnich czasach cierpienia jego były mniej dotkliwe. W tej chwili zaś, odczuwał w sobie znów: *„I segni dell'antica fiamma”* wraz z towarzyszącemi im katuszami, od których przez kilka tygodni zdołał się uwolnić, dzięki rozrywce, nie ukrywającej w sobie, jak sądził, żadnego niebezpie-

czeństwa i tem więcej żałował że i ta rozrywka została mu wydartą. Bo jak widzieliśmy, Raynold obawiał się cierpienia i nie umiał znosić go wytrwale; posiadał więcej stałości serca niż charakteru.

Wrócił do domu bardzo rozdrażniony: od trzech miesięcy pierwszy raz dopiero miał spędzić cały wieczór tak samotnie. Było to w końcu stycznia: pokój jego tak wesoły i ciepły rano gdy go oświecały promienie słońca, wydawał mu się teraz zimny i ponury. Zawołał służącego, kazał mu zapalić na kominku i przynieść lampę, lecz ani ogień ani światło nie zdołały mu wrócić spokojności.

Zapalił cygaro i zaczął przerzucać gazetę; zawierała niektóre ważne wiadomości polityczne, jednak czytał z roztargnieniem i tylko kilka następujących wierszy zdołało zwrócić jego uwagę:

„W obecnej chwili znajduje się wiele cudzoziemców w Rzymie. Wśród nich zwraca powszechną uwagę młoda księżna de Longvilliers. Obecny książę de Longvilliers, był już dawniej znanym w arystokratycznym świecie paryzkim jako hrabia de Trévals.. Odziedziczył tytuł po swym wuju, księciu de Longvilliers (zmarłym trzy miesiące temu), którego córkę zaślubił."

— Wiedziałem to wszystko, szepnął Raynold, a przynajmniej prawie wszystko.

Wiedział rzeczywiście że książę de Longvilliers umarł w skutek przeziębienia się na polowaniu, a spotkanie w kościele św. Piotra dozwoliło mu domyślić się reszty. Cisnął gazetę i kończył cygaro chodząc po pokoju wielkimi krokami. Cisza i samotność ciężyły mu w tej chwili. Dorzucił drzewa na kominek, wkrótce było mu gorąco, otworzył całe okno. Noc była zimna i jasna, niebo iskrzyło się gwiazdami, ale na Forum panowała także sama cisza jak w pokoju, i najlżejszy szmer nie dochodził jego słuchu... Byłby pragnął usłyszeć w tej chwili krzyki: *Ogień! ogień!* lub: *Ratujcie!* aby pośpieszyć komuś z pomocą. Słowem, znajdował się w takiem usposobieniu, iż pragnął aby jakibądź wypadek wyrwał go z tego osamotnienia i smutku, postawił w obec jakiegoś niebezpieczeństwa lub zmusił do przezwyciężenia jakiejś trudności.

Zadzwoniono do drzwi. Odwiedziny o tej porze? Któż to mógł być?..

Doznał przykrego niepokoju. Byłżeby to Horacy? Może odkrył jego schronienie.

A! tego tylko brakowałoby jeszcze!.. nie chciał już myśleć o przeszłości, pragnął zapomnieć...

Drzwi się otworzyły... ale ukazał się w nich nie Horacy lecz Myriel, młody artysta o którym wspominaliśmy wyżej. Raynold witał go zawsze z przyjemnością u siebie, ale w tej chwili był prawie uszczęśliwiony z jego przybycia.

— Witam cię z całego serca! zawołał wyciągając do niego dłonie. Jakież to dobroczynne bóstwo sprowadza cię do mnie?

— A! gdybyż to dobroczynne! rzekł Myriel, ale tak nie jest na nieszczęście... przyszedłem tu z wiadomością która cię nie mniej zasmuci jak mnie zasmuciła. Nasz kochany Biagio Marini umarł dziś rano.

— Umarł!.. powtórzył Raynold przerażony. Biagio Marini umarł!.. to być nie może!

— Niestety! nie podpada to wątpliwości. Zdaje się że wczoraj wieczorem odwiedził go ten niegodziwy Taddeo i w skutku tego...

— Tak, tak, wiem o tem. Bawiłem u niego prawie do północy.

Stanęła mu wtenczas przed oczyma strasznie zmieniona twarz starca, gdy wrócił do gabinetu po oddaleniu się Taddea.

— O! mój Boże czemuż nie pozostałem przy nim? rzekł uderzając się w czoło.

— Nie zapobiegłoby to nieszczęściu; zdawało się atak minął szczęśliwie, zanim jeszcze udał się na spoczynek. Tak przynajmniej zapewniła mnie Assunta.

— Więc mówiłeś z Assuntą?

— Tak. Traf zdarzył że potrzebowałem dziś właśnie prosić naszego zacnego profesora o pewne objaśnienie. Zastałem wszystkie drzwi otwarte, a w salonie zobaczyłem kilka nieznanych osób, wśród których znajdował się także Taddeo Marini, zbyt zajęty aby mógł zwrócić na mnie uwagę. Udałem się do pokoju biednego Biagio... i tam zastałem go już martwego na łóżku... Assunta klęcząc przy nim płakała głośno, Hersylia zaś stała z szeroko otwartemi oczyma, nieruchoma, jakby skamieniała.

— Nieszczęśliwe dziewczę! Co się z nią teraz stanie?

— Tak... rzeczywiście, co się z nią stanie?..

Milczeli chwilę, a następnie odezwał się znów Myriel:

— Biedna Hersylia, zasnęła wczoraj wolna od wszelkiej obawy; a podobno wieczorem śpiewała długo na wyraźne żądanie ojca.

— Tak, w istocie, ale cóż dalej?

— Assunta, jak to już mówiłem, odeszła z tem przekonaniem że atak przeszedł szczęśliwie, jakkolwiek pan był jeszcze bardzo blady i miał ciężki oddech. Ale ponieważ sypia w gabinecíku przyległym do pokoju pana i Hersylii, usłyszała około piątej jakieś jęki i pobiegła natychmiast do pana... Dostał powtórnego ataku, gwałtowniejszego niż poprzedni, tym razem śmiertelnego. Nieszczęśliwa Hersylia przebudzona krzykiem Assunty przybiegła natychmiast do ojca... Stracił zupełnie przytomność, jednak ocucił go głos córki otworzył oczy i odzyskał przytomność, Assunta natychmiast posłała po doktora i do księdza mieszkającego w pobliżu, który też nadszedł wkrótce. Chory tymczasem odzyskał mowę... Przyjął jak prawdziwy chrześcijanin święte Sakramenta, a potem rzekł przerywanem głosem zwracając się do córki:

— Wszak przysięgniesz mi na to?.. przysięgniesz?..

— Tak, tak... odpowiedziała łkając biedna Hersylia; przysięgam ci ojcze.

— Przed Bogiem i Madoną?

— Przed Bogiem i Madoną.

Biedny nasz nauczyciel, uchwycił wtenczas drżącą ręką krzyż z wyobrażeniem Chrystusa, spoczywający na jego piersi, i kazał go pocałować córce, potem sam go przycisnął do ust, głowa opadła mu na poduszki, a niedługo potem zakończył życie.

Raynold pragnął aby jakiś niespodziewany wypadek wyzwolił go od własnych jego uczuć i myśli, spełniło się jego życzenie—w obecnem położeniu mało co mogłoby wzruszyć go silniej i zaledwie po pewnym czasie mógł prowadzić dalej rozpoczętą rozmowę. Myriel nie mniej od niego przywiązany był do starego profesora, ale nie wiedział tak dobrze jak on jakie troski zatruwały mu ostatnie dni życia.

— Zdaje się, odezwał się znów Myriel, że celem tej przysięgi której żądał od córki, było powstrzymanie jej od występowania na scenie?

— Bezwątpienia; obawiał się dla niej tego więcej nawet niż śmierci.

— A więc w takim razie, pytam raz jeszcze, co dalej czynić będzie?

— Zadawałem sobie właśnie też samo pytanie.

— Czy znasz Taddea Marini?

— Tak, na nieszczęście.

— Wiesz zatem, że to człowiek ordynarny, chciwy i z bardzo elastycznem sumieniem; a żona przewyższa go jeszcze pod tym względem.

— Nie widziałem jej nigdy, a pomimo to byłem tego pewnym. Są to jednak jedyni krewni tej nieszczęśliwej Hersylii! Jakaż to straszna przyszłość dla córki takiego człowieka jak nasz zacny Biagio!..

— Tak, rzeczywiście, bardzo smutna, odpowiedział Myriel, ale zdaje mi się że piękna Hersylia zapomni o swem przyrzeczeniu. Vincenzo Loriani, mówił mi że posiada jeden z tych rzadkich głosów zapewniających świetne powodzenie, a więc i majątek; będzie więc mogła wkrótce wyzwolić się od wszelkiej zależności.

— Być może, zawołał z żywością Raynold, ale przedtem stryj będzie wyzyskiwał jej talent, obwożąc ją z miasta do miasta po całym świecie, narażając na wszelkie niebezpieczeństwa nieodłączne od podobnego życia, aż w końcu będzie zgubioną jak tyle innych. Jakże możesz mówić o tem tak spokojnie?

— Cóż chcesz, mój drogi Raynoldzie? Ubolewam szczerze nad jej losem, ale zmienić go nie mogę. Pocieszam się jednak nadzieją że, jeźli nawet co jest bardzo prawdopodobnem, Hersylia zapomni o swem przyrzeczeniu, to przynajmniej wierna zasadom wpajanym w nią od lat dziecinnych, pozostanie cnotliwą, idąc w tem za przykładem tylu najsławniejszych śpiewaczek włoskich.

Rozmowa przeciągnęła się jeszcze długo, a gdy Myriel miał odejść, Raynold odezwał się jeszcze:

— Zdaje mi się że po takiem nieszczęściu, zwłaszcza że od trzech miesięcy spędzałem większą część czasu u profesora, wypada mi koniecznie odwiedzić jego córkę; inaczej okazałbym się nietylko pozbawionym serca ale i należnego jej szacunku. Czy nie znalazłbyś jakiej sposobności dowiedzenia się od Assunty, kiedy mógłbym tam pójść, z tą pewnością że nie zastanę tam impresaria, z którym pragnę unikać spotkania.

Ostatnie słowa Biagia Marini do Raynolda zawierały w sobie prośbę aby nigdy już do niego nie wracał, ale w takich jak obecnie okolicznościach, Raynold sądził że mu wolno przekroczyć jego wolę, i tylko nie chciał tego uczynić bez zezwolenia Hersylii. Myriel zastanowił się chwilę. Hersylia nie zechce z pewnością odstąpić zwłok dopóki te pozostaną w domu, nie można więc było myśleć o widzeniu się z nią przed pogrzebem, który miał się odbyć nazajutrz wieczorem.

— Wszak będziesz na pogrzebie? zapytał Myriel. My wszyscy z Akademii Francuzkiej pójdziemy z pewnością... zapewnie i wiele znakomitości odprowadzi go na miejsce wiecznego spoczynku... Biedny Biagio Marini!.. Ci którzy zapomnieli o nim za życia, przypomną go sobie po jego śmierci i uczynią przedwstępny krok do wsławienia jego pamięci, oddając hołd zwłokom!..

Myriel nie mylił się, nazajutrz na skromnym pogrzebie profesora znajdowali się wszyscy najznakomitsi literaci i uczeni przebywający w Rzymie. Raynold wraz z przyjacielem znajdował się w tłumie który już o zmroku, przy świetle pochodni, odprowadzał zwłoki jego starego przyjaciela.

Gdy przybyli na cmętarz San Lorenzo, gdzie stosownie do własnego żądania Biagio miał być pocho-

wanym obok swej żony, spostrzegli Hersylię klęczącą przy wykopanym dla niego grobie, a przy niej Assuntę płaczącą i modlącą się głośno... Gdy się już wszyscy rozeszli a one dwie pozostały tam jeszcze, Myriel zbliżył się do Assunty i zamienił z nią kilka słów, ale Hersylia nie zwróciła na to uwagi. Biedna dziewczyna nic nie widziała i nic nie słyszała... Czarna gęsta zasłona twarz jej okrywała.

Gdy wracali z pogrzebu smutni i ze łzami w oczach, Myriel uwiadomił Raynolda że nazajutrz o tej porze będzie mógł widzieć się z Hersylią.

— Pytałem się Assunty i powiedziała mi że prawdopodobnie Taddeo nie przyjdzie jutro wcale, gdyż ma być u nich pojutrze bardzo rano aby zabrać je do siebie.

Raynold zadrżał usłyszawszy to ale nic nie odpowiedział. Myriel miał słuszność, nie było na to rady, wszelkie wdawanie się w tę sprawę byłoby nie tylko bezużytecznem ale i szkodliwem dla Hersylii.

Pomimo to oczekiwał z gorączkową niecierpliwością chwili, dozwalającej mu wejść po raz ostatni do tego mieszkania, w którem czas upływał mu tak mile. Udał się też tam o ile mógł najwcześniej, a stara Assunta czekająca już na niego w przedpokoju, wprowadziła go zaraz do salonu gdzie znajdowała się jej młoda pani.

Hersylia siedziała na swem zwykłem miejscu, jej nieruchoma postawa i twarz pokryta prawie martwą bladością, przy czarnem ubraniu, miała w sobie coś przerażającego.

Nie poruszyła się gdy wszedł Raynold i dopiero gdy zbliżył się do niej w milczeniu, powstała z trudnością i podała mu rękę, ale wysunęła ją z żywością gdy zatrzymał ją chwilkę w swojej, i upadła na krzesło zalewając się łzami.

— O! signor Rinaldo, jestem bardzo nieszczęśliwa!..

W jej głosie, w jej łzach było coś bolesnego i rozrzewniającego; był to płacz czującej swe osamotnienie sieroty... płacz dziecka świadomego swej bezsilności.

Czemuż nie była rzeczywiście dzieckiem! Czemu nie mógł wziąść ją na ręce, unieść gdzie daleko i umieścić w jakiemś pewnem schronieniu, gdzie zepsucie i nieszczęście nie mogłoby jej dosięgnąć... gdy przeciwnie teraz zawistny los nie tylko że ją z nim rozłącza, ale jeszcze pozbawia wszelkiego dobrego i zbawiennego wpływu.

— Ubolewam nad tobą, signorino Hersylio, więcej niż to wysłowić zdołam, rzekł wzruszonym głosem.

— Dziękuję, signor, współczucie twoje przynosi mi ulgę; odpowiedziała zwracając na niego pełne wdzięczności spojrzenie.

— Cóż teraz signorina zamierza czynić? zapytał Raynold, chcąc ją skłonić do tego aby mówiła o sobie.

— Jutro opuszczam ten dom, odpowiedziała ponuro, i przenoszę się do stryja.

— Musi cię kochać signorina, i będzie zapewnie dobrym dla ciebie.

Nie odpowiedziała ani słowa.

— Hersylio, rzekł Raynold biorąc ją za rękę, mów ze mną otwarcie, proszę cię o to w imie tej ufności jaką twój ojciec pokładał we mnie.

— O! tak, on kochał pana bardzo... Biedny ojciec! zawołała zalewając się znów łzami. Pytasz mnie, signor, dodała po niejakim czasie ocierając oczy, czy stryj mnie kocha: nie wiem, być może... ale to pewna że mnie dręczyć będzie.

— Dla czego?

— Aby mnie tym sposobem zmusić do przestąpienia woli ojca.

— Ale nie uczynisz tego, Hersylio, wszak prawda? zapytał Raynold niespokojnie.

Oczy Hersylii błysnęły ogniem, a twarz pokryła się rumieńcem.

— Nigdy! zawołała z mocą. Jakże możesz wątpić o tem, signor Rinaldo?.. jakież to masz o mnie wyobrażenie?.. Jestem sama na świecie, nie mam nikogo coby stanął w mej obronie, ale wolałabym znosić najsroższe męczarnie, niż złamać przysięgę wykonaną umierającemu ojcu!.. Tylko, dodała smutnie i z prostotą, wiem że będę musiała przecierpieć wiele.

Nigdy dotąd Hersylia nie obudziła w sercu Raynolda jakiegoś uczucia które mogłoby go zaniepokoić lub skłonić do ostrożności. Patrzył na nią z prawdziwą przyjemnością, zachwycał się jej głosem, ale, jak to już powiedzieliśmy, budziła w nim tylko żywe zajęcie i litość z powodu swego smutnego położenia. Obecnie to uczucie litości wzrosło do najwyższego stopnia, spotęgowane w tej chwili jakiemś niedoświadczanem dotąd. Ta energija której nie domyślał się w niej nigdy, ta gotowość znoszenia cierpień, ta spokojna odwaga, przeistoczyły ją zupełnie w jego oczach, wstydził się że ją mógł posądzić o słabość charakteru. Przestał ją uważać za dziecko i doznawał niewysłowionej boleści myśląc o tem że ta niewinna i śliczna istota będzie zależną od tak niegodnego człowieka jak impresario, a sumienie ostrzegało go że on mniej jeszcze niż ktokolwiek inny mógłby ofiarować jej swą opiekę. Oburzył się gdy ojciec Hersylii prosił go aby przestał bywać u niego, bo wtenczas czuł że posądzono go nie słusznie... Ale w tej chwili słowa starca zabrzmiały w jego uszach przybierając zarazem znaczenie prośby i przestrogi: *Nie możesz uczynić* nic, nic, nic, *jak tylko odejść i nie wracać więcej* i zdawało mu się że pozostając przy niej choćby chwilkę tylko, dopuściłby się zdrady względem tego który pokładał w nim nieograniczoną ufność.

Wstał w milczeniu, nie patrząc na nią.

— Już odchodzisz, Rinaldo!..

Był to krzyk boleści wyrywający się mimowolnie z serca przy ostatniem pożegnaniu... krzyk tonącego gdy traci nadzieję ratunku, krzyk ranionego gdy uciekający jego towarzysze pozostawiają go na placu boju... słowem krzyk któremu serce oprzeć się nie może.

Raynold zatrzymał się niepewny i zmieszany... głos honoru i obowiązku nakazywał mu odejść, ale współczucie i serce radziło pozostać... Myśli zaczęły mu się plątać... nie wiedział co ma czynić i wahał się jeszcze, gdy Assunta otwierając prędko drzwi, zawołała:

— Signorina, twój stryj i signora Klorinda.

I Raynold stojący na środku pokoju spotkał się oko w oko z impresariem i jego żoną.

Gdy ktoś traci przytomność dobrze jest oblać mu twarz zimną wodą, a właśnie ten sam skutek sprawiło na Raynoldzie ukazanie się tej pary. Oprzytomniał i zrozumiał o ile kompromitującą dla Hersylii była jego obecność, przybrał jednak natychmiast spokojną i dumną postawę człowieka pewnego siebie.

Co do wchodzących, ci po pierwszej chwili zadziwienia, myśleli tylko o tem aby skorzystać z tego spotkania.

— *Il signor marchese* zechce przyjąć moje najpokorniejsze powitanie, odezwał się Taddeo, jestto z jego strony prawdziwy dowód dobroci, że nas odwiedził w naszem nieszczęściu. Niechże mi wolno będzie przedstawić mu moją żonę. Klorindo, rzekł półgłosem zwracając się do żony: *è il marchese.*

— *Davvero!..* czy to być może? zawołała kłaniając się niziutko.

Raynold czuł większy wstręt do impresaria poznawszy jego żonę. Jakkolwiek signora Klorinda zachowała jeszcze resztki piękności, dość było spojrzeć na nią aby poznać że była ordynarną złośliwą, zdolną posunąć się do nikczemności.

— Jestto prawdziwie wielki dowód uprzejmości ze strony *del signor marchese* że zechciał cię odwiedzić, moja mała, rzekła Klorinda zbliżając się do sieroty i całując ją w czoło. Potem dodała uderzając ją lekko wachlarzem w policzek: No *figlia mia,* skoro przyszedł tu po to aby cię rozerwać w smutku, to starajże się być dla niego trochę uprzejmiejszą.

Raynold nie usiadł pomimo że impresario podał mu krzesło. Wahał się ciągle jeszcze; czem większy wstręt budziła w nim ta para tak dobrze dobrana, czem boleśniejszą była dla niego myśl że Hersylia wpadnie w jej ręce, tem trudniej było mu odejść.

— Przyszedłem tu, rzekł nakoniec zimno, aby okazać signorinie Hersylii że podzielam szczerze jej smutek, miałem dla profesora Biagio Marini wiele szacunku i przyjaźni.

— Jestto wielki zaszczyt tak dla niego jak dla nas, ale skoro już pan margrabia raczył wspomnieć o swej przyjaźni dla mego brata, niech zechce także pozwolić abym jako opiekun Hersylii, zastępujący jej obecnie miejsce ojca, prosił go o chwilkę rozmomowy w jej obecności.

Hersylia spojrzała na niego z zadziwieniem. Raynold zdziwiony także, odpowiedział wyniośléj jeszcze niż przedtem:

— Nie pojmuję co signor Taddeo Marini mógłby mi mieć do powiedzenia ale słucham, i nie przyjął powtórnie ofiarowanego krzesła.

— Skoro pan margrabia tak dobrze znał mego brata, to musi także wiedzieć że nie tylko był uczonym ale prawie świętym.

— Tak bezwątpienia.

— A przypuszczam że *signor marchese* wie także, dodała Klorinda, że we wszystkiem co dotyczyło interesów był prawdziwem dzieckiem.

— Nie przerywaj mi, odezwał się Taddeo, czując że w tym razie pomoc żony nie może być dla niego korzystną, jednak powtórzył po niej: Tak, mój brat był pod wielu względami prawdziwem dzieckiem...

— Do czegóż zmierzają twe słowa, signor Taddeo?

— Zaraz to powiem. Synowica moja, Hersylia, jest, mogę to powiedzieć przy niej, nietylko młodą i piękną, ale jeszcze posiada pierwszorzędny talent: otóż brat mój powodowany jakąś dziwną i niezrozumiałą surowością wyobrażeń...

Hersylia zadrżała usłyszawszy te słowa, a oczy jej zabłysły ogniem nie wróżącym nic dobrego mówiącemu. Stryj jej spostrzegł to i dodał:

— Nie gniewaj się mała i pozwól mi dokończyć. Gdy powiem wszystko, pan margrabia osądzi kto ma słuszność, a jeżli mnie ją przyzna i będzie starał się przekonać cię że tak jest w istocie, to może i ty, moja mała, zechcesz mi być posłuszną i...

— Nie, *zio* Taddeo, zawołała drżąca ze wzruszenia Hersylia, stając przed nim: nigdy nie przestąpię woli ojca dla przypodobania się komubądź na świecie, *choćby nawet jemu.*

Zaledwie jednak te słowa wybiegły z jej ust, zarumieniła się i zakryła twarz rękami. Raynold zaś

odezwał się, usiłując ukryć wzruszenie wywołane tem mimowolnem wyznaniem:

— Signorina Hersylia może być pewną że nigdy podobna rada nie wyjdzie z ust moich. Wiem jak dalece Biagio Marini był temu przeciwny, i dlatego też córka jego zgadzając się z jego wolą, budzi we mnie najgłębszy szacunek.

— Czy tak! zawołał Taddeo wybuchając gniewem, to ja znów nie mogę szanować osoby która zamiast zarabiać uczciwie na swe utrzymanie, korzystając z talentu którym ją niebo obdarzyło, woli, bez względu na swą reputacyę, przyjmować zaloty w obecności krótko widzącego ojca, a nazajutrz po jego śmierci, przyjmować swego kochanka bez wstydu i wyrzutów sumienia!..

Hersylia podskoczyła jakby ją kto uderzył nożem w piersi, i zdawało jej się że wszystka krew ustąpiła z jej ust i twarzy. Oczy przybrały błędny wyraz i zawołała błagającym głosem, załamując ręce: „O! Najświętsza Panno! miej litość nademną!” Potem postąpiła parę kroków jakby chciała uciec z pokoju.

Taddeo przestraszony wrażeniem wywołanem jego słowami chciał zbliżyć się do niej, ale Raynold nie pozwolił na to. Z siłą spotęgowaną oburzeniem pochwycił impresaria za kołnierz i odrzucił o kilka kroków, a potem rzekł zbliżając się do Hersylii.

— Nikt już nie poważy się znieważać córki Biagia Marini gdy będzie pod opieką męża, tę ofiaruję jej właśnie... jako jedyną którąby przyjąć chciała!

Hersylia patrzyła na niego czas jakiś jakby nie mogąc zrozumieć znaczenia słów jego, potem wyrzekła słabym głosem:

— Ah! ojcze! ty modliłeś się za mną! Zachwiała się i upadła zemdlona na ręce Raynolda.

VI

Zobaczmy teraz co się działo przez ten czas w Crécy, gdzie przeniósłszy się znajdziemy osoby które straciliśmy z oczu idąc za Raynoldem.

W tym to pięknym i wspaniałym pałacu, margrabina de Liminges przepędzała już po raz drugi większą część zimy. Łatwo się domyśleć że Eliana znajdowała się tam także, a dwie kuzynki znów przebywające z sobą (bo Iwon i Bianka przyjeżdżali w lecie do Erlon, a na wiosnę spotykano się w Paryżu), kochały się jak dawniej, a może nawet stosunki ich były teraz czulsze jeszcze i serdeczniejsze.

Bianka de Monléon była mężatką już ośmnaście miesięcy; śliczne dziecko rozweselało dom cały, a przy końcu lata spodziewano się drugiego. Uczucie macierzyństwa uszlachetniło jeszcze jej serce i nadało wszystkim innym jej uczuciom wznioślejszą i poważniejszą cechę.

Pałac de Crécy, któryby słuszniej można było nazwać zamkiem, wznosił się na szczycie lesistego wzgórza, i dlatego już zdaleka widzieć się dawał. Sterczące nad nim wieże pamiętały jeszcze te czasy w których panowie de Crécy wytrzymywali nie jedno ciężkie oblężenie w tej swojej siedzibie, i miał tę jeszcze wyższość nad innemi, że nawet w najkrwawszych czasach rewolucyi pozostawał w ręku swych prawych posiadaczy. Może nie przynosiło to wielkiego zaszczytu ówczesnemu właścicielowi, a Iwon de Monléon posądzał wujecznego dziadka, że okupił swe bezpieczeństwo zdradą względem swoich i z tego powodu pamięć jego była mu wstrętną, teraz zaś, gdy po wygaśnięciu następców jego w prostej linii, cała ta posiadłość przeszła w ręce Monléonów, Iwon starał się zatrzeć wszelkie ślady pozostałe po Juljuszu-Gastonie-Ludwiku, margrabim de Crécy. Kosztowało go to wiele pracy, ale wszystko co uczynił dla odświeżenia pałacu odznaczało się wytwornym smakiem, zdradzającym, że sam nie wiedząc o tem, posiadał spory zasób artystycznego poczucia.

Pałac de Crécy odpowiadał więc wszelkim najwyszukańszym wymaganiom, tak pod względem wewnętrznego urządzenia jak pod względem wszelkich ozdób, a Iwon, idąc za przykładem Anglików (których nie cierpiał wprawdzie, a pomimo to naśladował ich bardzo często), obrał go sobie za swą główną siedzibę; w Paryżu zaś miał tylko dość skromnie urządzone mieszkanie, które zajmował wraz z żoną przez dwa do trzech miesięcy na początku wiosny.

Gdyby ktoś uprzedził Biankę przed ślubem że tak będzie, może nie chciałaby się zgodzić na to, ale kochała bardzo męża, który odpłacał jej się wzajemnem uczuciem i już dla tego jedynie poświęciłaby mu wszystkie swe upodobania. Prócz tego, Crécy było jej równie drogiem jak jej mężowi, i powtarzała że szczęście jej przewyższało to wszystko o czem kiedykolwiek marzyła.

Margrabina de Liminges była tam zawsze oczekiwaną niecierpliwie przez córkę a witana z radością przez zięcia, i doznawała najżywszego zadowolnienia patrząc na szczęście córki, ciesząc się że było jej dziełem, dziełem jej rozumu.

Ale jakże, z drugiej strony, zasmucał ją syn, nie chcący przyjąć z jej ręki tak szczęśliwego losu jaki obmyśliła dla niego; obstający przy tem uporczywie że sam powinien rozporządzać swą przyszłością, a co więcej, przedłużał bez powodu i nad wszelkie przewidywanie swą nieobecność, zadając tem macierzyńskiemu jej sercu większą boleść, niż to okazać chciała.

Pomimo to nie pomyślała nigdy o wyrzeczeniu słowa któreby mogło zmienić tak przykry stan rzeczy; a w końcu zresztą, nie przywiązywała już do niego znaczenia. Raynold wyjechał nie chcąc opierać się jej woli; nie wspominał także nigdy w swych listach o Elianie, a więc nie myślał już o niej. Margrabina nie wspominała nikomu co było rzeczywistym powodem wyjazdu syna, gdyż według jej przekonania te tylko rzeczy o których się mówi nabierają znaczenia, zaś pokryte milczeniem przemijają jakby nie istniały nigdy. Było to zdanie mylne w tym wypadku, ale w wielu innych dość słuszne.

Z początku niepokoiła ją niepewność co do postępowania Eliany. Raynold zapewnił że nie wspominał jej nic o swych uczuciach, ale jeżli je odgadła, jeżli miłość jego wzruszyła jej serce lub ją też olśniła, czy nie byłaby zdolną pisywać do niego tajemnie i roznieca tym sposobem płomień, który czas i oddalenie zgasiłyby z pewnością.

Niedługo to jednak trwało, margrabina posiadała sama zbyt wzniosłą i szlachetną duszę, aby mogła nie dostrzedz tych przymiotów w innych. Zresztą dość było zastanowić się trochę aby uznać niemożność posądzenia Eliany o nieszczerość, kłamstwo, lub nawet skrytość, jeżli tylko nie nazwiemy tak zdolności cierpienia w milczeniu.

Łatwe dotąd i szczęśliwe życie Eliany, stało się nagle smutnem i ciężkiem; cierpiała też z tego powodu wiele, tak wiele że w końcu sił jej nie stało. Wtenczas to stryjenka, zapominając o swem do niej żalu, otoczyła ją najtkliwszemi staraniami, i skoro tylko zdrowie jej polepszyło się trochę, zawiozła ją do Crécy, czując że obecność Bianki zbawiennie na nią wpłynie. Było to przy końcu pierwszej jesieni po wyjeździe Raynolda.

Ani stryjenka ani kuzynka nie zastanawiały się tak dalece nad powodami pierwszych objawów gorączki, która zaniedbana z początku, zamieniła się w ciężką chorobę. Może zresztą i Eliana nie zwróciła także na to uwagi, czuła wprawdzie że źródło radości orzeźwiające jej serce wyschło nagle, że serce przygniata jakaś śmiertelna tęsknota, niewysłowione znużenie, i doznawała takiego uczucia, jakby znajdowała się wśród pustyni pozbawionej wody, kwiatów i zieloności, gdzie nawet podniósłszy oczy w niebo, widziała je zasłonięte chmurami.

Ale Eliana umiała zarówno zwalczyć osłabienie fizyczne jak przygnębienie moralne, wkrótce też przezwyciężyła jedno i drugie. Stopniowo wyrobiła w sobie spokój duszy i życie pogodne, a nie dość na tem, umiała roztaczać tę pogodę koło siebie, tak dalece że margrabina zaczęła sobie zadawać pytanie coby się z nią stało, gdyby była zmuszoną rozłączyć się z Elianą, tak umiejącą uprzyjemnić jej życie.

Tak rok przeszło upłynął i kończyła się druga zima przebyta w Crécy, gdzie tym razem znajdował się także Armand de Malseigne.

Po owej pamiętnej rozmowie z margrabiną w Erlon, wyjeżdżał bardzo często do Burgundyi, tłómacząc się tem że przeprowadza u siebie ulepszenia wymagające jego obecności. Margrabina przypisywała innym powodom to jego postępowanie sprawiające jej prawie tyle przykrości co nieobecność Raynolda, i zadawała sobie często pytanie czy obraziła go przypuszczeniem które uważał za uwłaczające jego rozumowi, czy też... zraniła go odgadując prawdę.

Pozostawimy przenikliwości czytelników naszych rozwiązanie tej zagadki i powiemy tylko, że począwszy od poprzedniego lata, stosunki Armanda i margrabiny zaczęły się polepszać i w końcu stały się znów czem były dawniej, to jest że on przepędzał znów większą część czasu w Erlon, ona zaś wróciła mu prawa powiernika i doradcy, o ile ta nazwa może być nadawana temu od kogo żądamy rady, ale stosujemy się do niej tylko w razie jeżli zgadza się z naszem zdaniem.

Jednak pierwszy raz dopiero znajdował się w Crécy, które wydawało mu się równie uroczem jak i wszystkim w ogóle. Pobyt tam tym przyjemniejszym był dla niego, że podzielał poniekąd zdanie Iwona utrzymującego że polowanie jest najmilszą rozrywką a w Crécy mnóstwo było zwierzyny. Jeżli dzień był niewłaściwy do polowania, odbywał wraz z Iwonem długie spacery konno, w okolice posiadające nawet w tejże porze wiele uroku.

Było już po południu. Margrabina stosownie do swego zwyczaju, odeszła do siebie i miała zejść dopiero na obiad. Iwon i Armand wyjechali konno, dla przekonania się czy droga zawalona zaspami śniegu została oczyszczona stosownie do rozkazu Monléon'a. Bianka i Eliana wróciły właśnie z przechadzki i zastajemy je przy kominku w małym saloniku, naprzeciwko drzwi do obszernego salonu z kosztownemi obiciami, z wysokim kominkiem z białego i czarnego marmuru i kosztownie wykończonemi meblami,

(D. c. n).

Opis do N-ru 9.

N. 1—2. Ubrania wizytowe.

N. 1. Suknia z krótką draperyą.

Ryc. 1 przedstawia z tyłu suknię odrobioną z atłasu gładkiego i przerabianego w duże centki aksamitne; baskina stanika przecięta jest w patki 6 cent. szerokie a 13 długie, w pukle do spodu podwinięte. Przód sukni zdobi draperya „à panier“ z atłasu gładkiego, w górze w głębokie kontrafałdy ułożona, z boków pod tylną draperyę zachodząca. Tę ostatnią upina się z dwóch brytów 46 cent. szerokich a 116 długich, zeszytych w środku, a podpiętych tylko w górze w sutą bufę. Dół sukni oszyty wązkiem atłasowem plisowaniem, nad którem z przodu dane cztery 5 cent. szerokie, w ząbki wycięte falbanki, z których jedna w górę obrócona, stanowi nagłówek.

N. 2. Suknia z odmienną draperyą z każdego boku.

W spódnicę z jednego boku wstawiony gładki bryt aksamitny, u dołu w równych odstępach, na 15 cent. długości przecinany i ozdobiony wachlarzowo sfałdowaną materyą jedwabną; drugą połowę przodu stanowi bryt z wełnianego materyału, w kontrafałdy ułożony. Stanik z otwartym bawetem z przodu, a z tyłu z fałdowaną baskiną, zdobi kołnierz aksamitny, takież wązkie ranwersy i z przodu dodana część szmizetkowa. Przednią draperyę stanowi z prawego boku krótkie, z lewego długo spuszczone panier; z tyłu dane upięcie z bryta prostego.

N. 3. Sukienka dla małego chłopczyka.

Stanik 37 c. długi zdobią trzy wązkie kontrafałdy, zaszyte w lewej, 10 cent. na prawą zachodzącej połowie przodu i 3 kontrafałdy zaszyte na środku pleców, na które dodaje się po 22 cent. materyału. Sukienkę zapina się z przodu na kryte haftki, a fałdy zdobią 8 cent. szerokie agrafy szmuklerskie, przyczepione metalowemi guziczkami. Spódniczkę 18 c. długą a 260 szeroką w wązkie fałdy splisowaną, przyszywa się do stanika, a przyszycie przykrywa sznur podwójny, z przodu na węzeł związany. Mankiety i przód spódniczki ozdobiony agrafami szmuklerskiemi; kołnierz wykładany.

N. 6 i 27. Szlak haftowany ściegiem płaskim i sznureczkowym. Przedłużenie deseniu na arkuszu z krojami fig. 29, sposób zestawienia wskazany na małym modelu ryc. 27.

Szlak stosownie do przeznaczenia haftuje się na kaszmirze, flaneli lub suknie, włóczką gobelinową do cieniu, ściegiem płaskim, sznureczkowym i supełkami. Włóczkę dobiera się w odmiennym od tła kolorze, np. do sukna lub flaneli popielatej, niebieską lub zieloną do cieniu.

N. 7. Pas powijakowy dla niemowlęcia. Krój na arkuszu z formami N. VII, fig. 16.

Pas podany na r. 7 polecamy w miejsce powijaków, jako dogodniejszy, łatwiej dający się zmieniać a równie zabezpieczający jak powijak. Pas przykrojony z podwójnego albo potrójnego płótna lub z barchanu z płócienną podszewką, trzeba ostębnować w koło w małym odstępie od brzegów i przestębnować cały w pirożki, do brzegów przyszyte tasiemki, które przewłóczą się przez dwie, jedna nad drugą obrobione dziurki, dane w odstępie 7 c. od środka pasa, i wiążą z przodu.

N. 8. Czapeczka dla małego chłopczyka.

Okrągła, do głowy przylegająca czapeczka zrobiona była z białego, wełnianego materyału. Uszy 6 cent. szerokie a 8—10 długie materyą białą podszyte, wszywa się razem z denkiem i związuje pod brodą.

N. 9. Kapelusik dla małej dziewczynki. Forma podług ryc. 39 i 40 w N-rze 1.

Wyżej wzmiankowaną formę najlepiej podług główki dopasować z muślinu, dodać dla ciepła karczek 15 cent. szeroki ze skośnego atłasu. Model odrobiony był z atłasu niebieskawo-stalowego koloru, z podszyciem z materyi różowej. Rondko suto podgarnirowane koronką.

N. 10. Szafka na garderobę dziecinną z blatem zastępującym stół do powijania.

Piękna szafka z dębowego drzewa ze stalowemi antabami przy szufladach i okuciem drzwiczek, przeznaczona do chowania wszelkiej garderoby dziecinnej, ma blat zwierzchni pokryty ceratą i otoczony z trzech stron galeryjką; na blacie kładzie się cienki materacyk w płóciennej poszewce, na którym powija się dziecko. Z boku szafki wprawiony jest pręt do zawieszania płóciennego ręcznika, ozdobionego haftem krzyżykowym i frendzlą wiązaną. Szlaczek do ręcznika na ryc. 19.

N. 11. Kaftaniczek dla niemowlęcia. Krój na arkuszu z formami N. XVIII, fig. 55—58.

Batystowy kaftaniczek wszyty jest z przodu w karczek z zębem, złożony ze wstawek 1 cent. szerokich i równie szerokich pasków batystu, na tych ostatnich naszyta jest nadmarszczona koroneczka. Wykrój pod szyją ogarnirowany koronką, rękawki oszyte wstawką i koronką. Kaftanik zapina się z tyłu na dwa guziczki.

N. 12. Kaftaniczek dziecinny, robiony na drutach. Krój N. XVII, fig. 53—54. Próbka naturalnej wielkości na r. 45 w N. 10.

Kaftaniczek z bawełny estramadura N. 4 i pół lub 5 zaczyna się od lewego brzegu pleców na oczek 78—80, obrabia się gładko tam i napowrót 5 rzędów a w szóstym daje się zawsze rząd dziurek, jak wskazuje próbka. Brzeg dolny jest równy a wykrój górny pasuje się podług formy przybierając lub gubiąc; wykrój pachy zakończa się oddzielnie w pleckach, a przy przodach zaczyna potrzebną ilością nowych oczek. Rękawy robić wzdłuż oddzielnie, spoić z lewej strony, wszyć w pachę spoiwszy poprzednio ramiączka. Następnie wykrój szyi nabrać na druty, obrobić trzema kręto wyglądającemi rzędami jednym rzędem dziurek i znów trzema jak poprzednio rzędami; tak samo obrobić rękawy. Nakoniec wykrój, mankiety i brzegi kaftanika obrobić ząbkami wskazanemi na próbce.

N. 13. Ręcznik robiony z grubej bawełny na drutach.

Próbki naturalnej wielkości i grubości ryc. 23 i 24. Brzegi poprzeczne ozdobione frendzlą macramé.

N. 15, 16 i r. 46 w N. 10. Fartuszek ozdobiony haftem „punto tirato“ i kratkami ażurowemi. Krój i deseń na arkuszu z formami N. XII, fig. 25—26.

Na fig. 25 dajemy model i miary fartuszka, któren kraje się razem z napierśnikiem, z płótna niezmaglowanego dość grubego, ażeby nitki do kratek łatwo można wyciągać. Fartuszek w górze przemarszcza się 4 razy do 20 cent. szerokości, a napierśnik przyciąga się u dołu do 10, w następnych przemarszczeniach do 13 c. szerokości. Próbkę roboty „punto tirato“ podaliśmy w N. 44 z r. 1882, na r. 21, a opis przy szlaku ryc. 27 w N. 45. Kratki ażurowe obrabia się pelą lub jedwabiem ponsowym, a wyszycie na tle nićmi białemi, dość grubemi; nadmienimy jeszcze iż w miejsce wskazanych na próbce 3 nitek, przy fartuszku bierze się po 4 nitki w kwadrat. Po brzegach szlaku dane są kratki ażurowe, czterema nitkami płótna od niego przedzielone; początek kratek znajduje się na r. 15, a ciąg dalszy na r. 46 w N. 10. Na napierśniku dana tylko kratka bez szlaku. W miejsce punto tirato można dać wstawkę szydełkową, robioną podług wzoru, fig. 26, dając na każdą kratkę tła 1 słupek i 2 o: powietrzne, a na deseń w miejsce każdego krzyżyka 3 słupki; tym sposobem otrzymamy deseń matowy na tle ażurowem. Brzegi fartuszka podszywa się tasiemką i oszywa niciną koronką, przemarszczanie podszywa się także dla mocy.

N. 18. Fartuszek z materyału w paski białe i niebieskie. Krój N. III, fig. 11-12.

Falbanka przy fartuszku 6, a przy napierśniku 4 cent. szeroka, przyszyta jest taśmą i oszyta wązką koronką triming.

N. 22. Szlak do chustki do nosa. Haft na batyście i koronka irlandzka.

Na ryc. 22 dajemy w naturalnej wielkości część szlaku złożonego z medaljonów koronkowych i haftu atłaskowego na batyście. Szlak w górze złączony jest z batystową chusteczką, trzymającą 25 c. w kwadrat, gładką tasiemeczką koronkową, przydzierganą do tła; takąż tasiemeczką zakończone są części haftowane i górny brzeg koronki. Rozety koronkowe układane są z tasiemeczki medaljonowej co sześć medaljoników przedzielanej cienkim 4 cent. długim sznureczkiem, z którego układane są



N. 1—2. Ubrania wizytowe.

N. 1. Suknia z krótką draperyą. N. 2. Suknia z draperyą odmiennie upiętą z każdego boku.

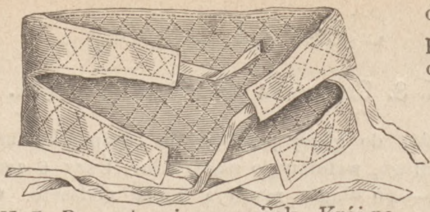


N. 8. Berecik dla chłopczyka.

gwiazdki środkowe w rozetach i zęby łączące koronkę z prostą tasiemeczką.

N. 25. Sukienka z paletocikowym stanikiem, dla dziewczynki lat 5—7.

Spódniczka szafirowej weł-

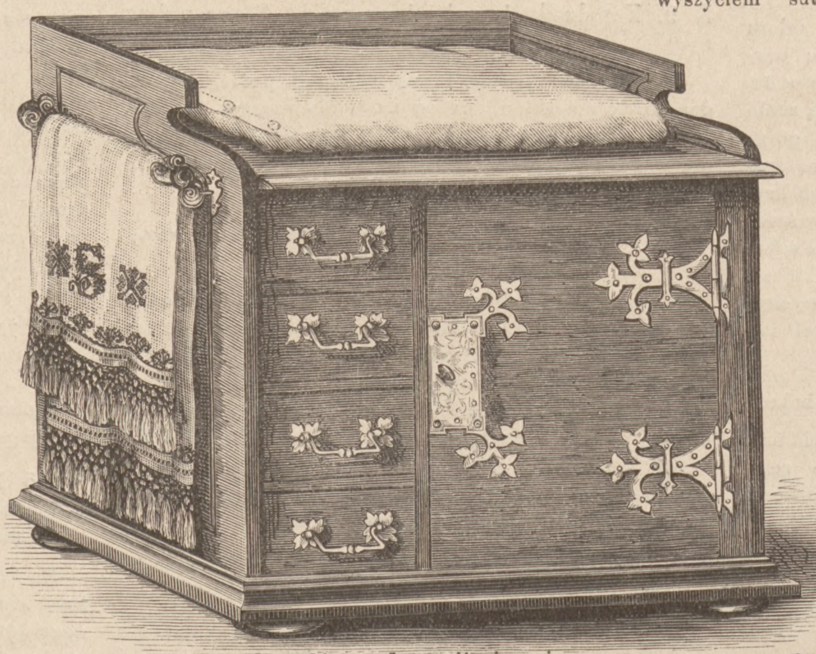


N. 7. Pas zastępujący powijak. Krój na arkuszu N. VII, fig. 16.

dy ułożoną i do bluzki przyszytą, mającą 27 c. długości a 192 cent. obwodu, zdobi plisa aksamitna 10 cent. szeroka i 6 patek pod paskiem przyszytych, ozdobionych kwadratami aksamitnemi i wyszyciem sutaszem,



N. 9. Kapotka dla dziewczynki.



N. 10. Komódka z blatem do powijania, mieszcząca garderobę małego dziecka

nianej sukienki, oszyta była wąziutkiem plisowaniem i dwoma 8 cent. szerokiemi plisowanemi falbankami; plecy i boczki stanika paletocikowego, poniżej wcięcia w stanie miały fałdy założone do spodu. Przody trochę zaokrąglone i dużo otwarte dopełniała długa na guziczki zapinana kamizelka, poniżej zapięcia otwarta i wstążką przewiązana. Rękawy przy zwierzchnim szwie są nie zeszyte do końca, lecz materyą podszyte i na wierzch wywinięte, a na długość dopełnione od spodu podszytym, 6 cent. długim przemarszczaniem. Kieszonki 13 cent. długie a 18 szerokie, założone są w brzegach przednich w dwie 3 c. szerokie kontrafałdy.

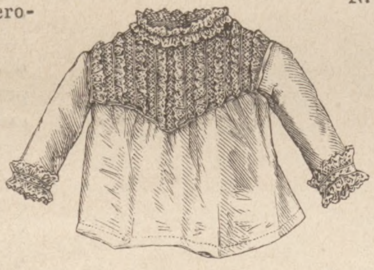
N. 26 i 30. Sukienka bluzkowa dla dziewczynki lat 5 do 7. Krój N. XIV, fig. 37—42.

Luźne przody i luźno

w sposób wskazany na r. 26. Kołnierz i patki przy rękawach są dwoiste, aksamitne i z tego co sukienka materyału, na tych ostatnich dane wyszycie sutaszem. Na modelu sukienka, z materyału popielatego, pledowego, w drobną kratę, przybrana była aksamitem i wyszyta sutaszem ciemo-zielonym.

N. 27. Ubranie do pierwszej komunii. Zobaczyć draperyę tylną na r. 20 w N. 10.

Spódnica białej muślinowej sukni, ozdobiona szeroką wstawką i koronką „valenciennes", ułożona jest w koło w podwójne kontrafałdy; draperyę szalową upina się z długiego bryta muślinu, ułożonego z przodu sposobem wskazanym na r. 28, a z tyłu upiętego w dwie duże kokardy z długiemi końcami. Stanik z krótkim bawetem zapinany jest z tyłu na kryte haftki i przymarszczony z przodu i na plecach, podług r. 28 i 20 w N. 10. Rękawy złożone ze wstawek i pasków muślinu oszyte koronką. Welon z kwadratowego



N. 11. Kaftaniczek dla dziecka. Krój na arkuszu N. XVIII, fig. 55—58.

wcięte plecy sukienki nie zeszyte są na ramionach tylko krają się razem, podług wzmiankowanej formy. Zwierzchni materyał przodów trochę bufiasto odstający kraje się podług formy, a podszewkę węższą, gładką podług cienkiej linijki na tejże. Przy wykroju szyi zaszywa się płytką kontrafałdę, krzyżykiem i punktem oznaczoną; brzeg dolny przodów przymarszcza się do gwiazdki. Spódniczkę w kontrafał-



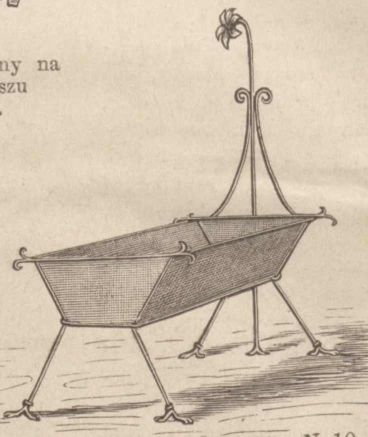
N. 12. Kaftaniczek robiony na drutach. Krój na arkuszu N. XVII. fig. 53—54.



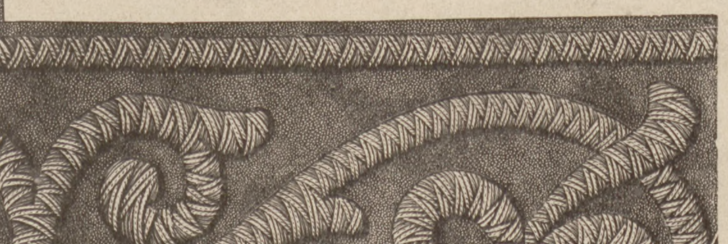
N. 13. Ręcznik robiony z grubej bawełny na drutach. Patrz r. 23—24.

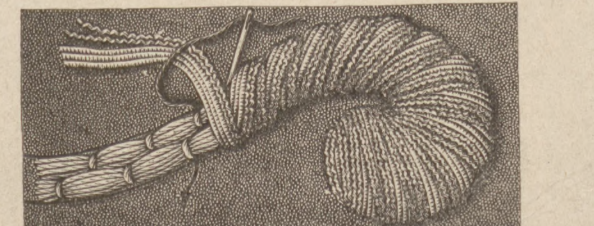


N. 3. Ubranie dla chłopczyka.



N. 14. Kolebka do r. 44 w N. 10.





N. 4. Wykonanie haftu tureckiego srebrem do r. 15.

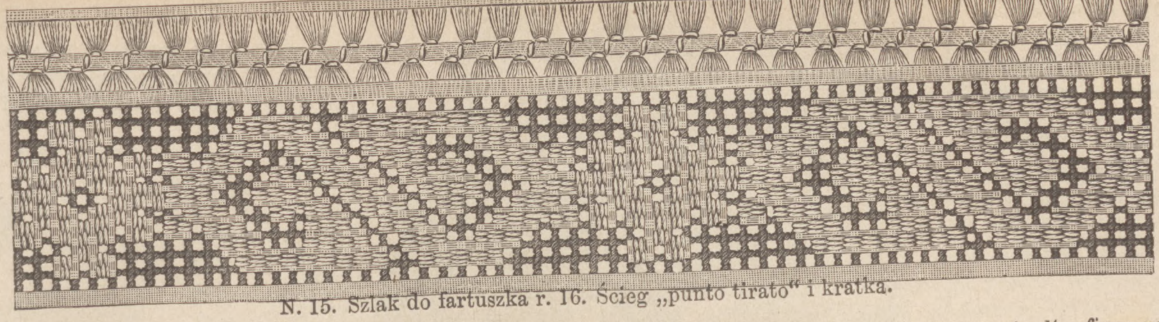




N. 5. Szlak haftem tureckim. Patrz r. 4 i fig. 27 na arkuszu.

N. 6. Szlak ściegiem płaskim i sznureczkowym. Patrz r. 27.

kawałka muślinu, jednym rogiem przypięty pod kokardą na czubku głowy, drugim w tył spuszczony, a dwa pozostałe końce spięte z przodu na staniku gałązką kwiatów.



N. 15. Szlak do fartuszka r. 16. Ścieg „punto tirato" i kratka.

N. 29 i ryc. 21 w N. 10. Suknia z vêtement. Krój N. XV. fig. 43—47.

Ryc. 29 i 21 przedstawia z przodu i z tyłu model sukni z czarnej materyi jedwabnej lub kaszmiru, do której formę vêtement dajemy na fig. 43—47. Przody krają się razem z boczkami, a do zachodzącej na wierzch połowy przodu dodaje się część przykrojoną podług fig. 44. Na draperyę tylną upiętą sposobem wskazanym na ryc. 21 w N-rze 10, dodaje się przy pleckach, potrzebną ilość materyału; brzegi vêtement, kołnierz i rękawy oszyte są pasmanteryą szmuklerską. Spódnica do ryc. 29 jest od góry plisowana a u dołu oszyta trzema marszczonemi falbankami, na ryc. 21 cała spódnica jest plisowana.



N. 16. Fartuszek. Patrz r. 15. Krój i deseń na arkuszu N. XII, fig. 25—26.



N. 17. Koszyczek do kluczy.

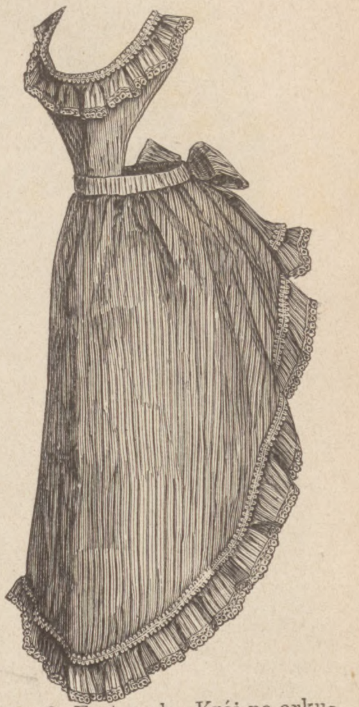


N. 19. Szlaczek do ręcznika r. 10.

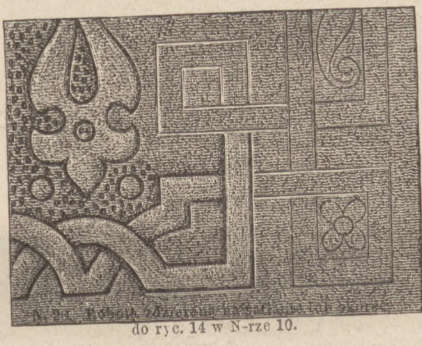
N. 32—33. Poduszka do kanapy, ozdobiona wyszyciem ze sznurków.

Część deseniu szlaku na r. 33 a 1/4 część środkowego deseniu w naturalnej wielkości podamy na r. 14 w N. 11. Wzór do tej bardzo pośpiesznej a ładnej roboty wzięty jest z dawnego dobrze zachowanego modelu, na którym na tle amarantowem aksamitnem, deseń wyszyty był sznureczkami nicianemi różnej grubości i kolorów i nićmi kolorowemi. Gdyby zachodziła trudność dostania kolorowych lnianych sznureczków i nici, można użyć kordonków i sznureczków jedwabnych. W szlaku deseń arabeskowy i pentelki przy zębach wyszyte były sznureczkiem żółtawym, aplikacya z atłasu niebieskiego sznureczkiem koloru ficelle, zęby sznureczkiem skręconym z koloru ficelle i niebieskiego, a ściegi poprzeczne w środku nićmi lub kordonkiem ficelle. Prosty pasek w górze szlaku miał aplikacyę z kanarkowego atłasu, przyszytą sznureczkiem niebieskim.

W deseniu środkowym, który podamy w N. 11, oprócz wyżej wzmiankowanych, użyty był jeszcze sznureczek zielony a aplikacya była z atłasu niebieskiego, ficelle, zielonego i kanarkowego. Wszędzie sznurki przyszywa się krytym ściegiem, a końce przeciąga przez aksamit na lewą stronę i zamocowywa. Ściegi rzadkie dziergane w środku figur robić podwójną nitką lub kordonkiem żółtawym, supełki między niemi kolorem ficelle, w figurach zapełnionych ściegiem płaskim użyty naprzemian kolor łososiowy i ficelle. Zeszycie wierzchu poduszki z podszewką z wełnianego atłasu, pokrywa bórta 1 cen. szeroka blado żółta, kwasty jedwabne duże w mieszanych kolorach wyszycia.



N. 18. Fartuszek. Krój na arkuszu N. III, fig. 11—12.



N. 20. Robota [illegible] do ryc. 14 w N-rze 10.



N. 21. Ząbki.



N. 22. Szlak do chustki batystowej. Koronka irlandzka i haft.

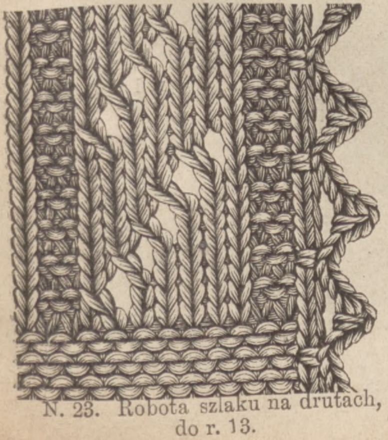
Opis do N. 10.

N. 1. Negliżyk z gazy i koronki. Patrz ryc. 31 w N-rze 10.

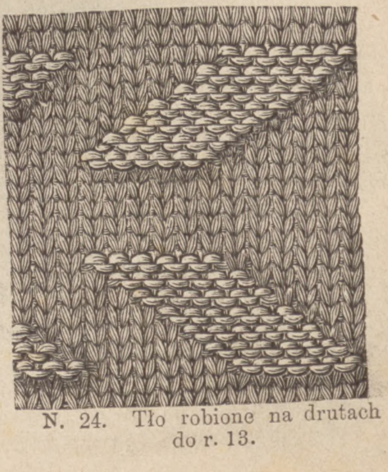
Podstawę czepeczka stanowi podwójnie złożony kawałek sztywnego tiulu 30 cent. długości a 13 środkowej szerokości, którego brzeg przedni zaokrąglony jest z boków. Po sfałdowaniu tylnego brzegu do 15 cent. brzegi w około oszywają się drucikiem i obejmują wstążeczką. Lekko namarszczona koronka 7 c. szeroka dana z przodu przy podstawie i w około brzegów denka. Układa się ono z kawałka jedwabnej gazy, haftowanej w kwiatki, liczącego w kwadrat 32 cent. który w górze fałduje się do 18 cent. i przyczepia do podstawy. Na przyszyciu dana kokarda z ponsowej atłasowej wstążki 6 cent. szerokiej, druga kokarda przyszyta na fałdowanem denku o 24 cent. poniżej. Czepeczek taki można przypiąć do włosów ozdobnemi szpilkami.

N. 2. Suknia z koronkowym żabotem.

Spódnica z granatowego kaszmiru cała zaplisowana w drobne fałdki, przysłonięta jest upięciem à panier, z tyłu dopełnio-



N. 23. Robota szlaku na drutach, do r. 13.



N. 24. Tło robione na drutach do r. 13.

nym prostym brytem lekko podpiętym. Stanik króciutki z boków, z tyłu przedłużony we frakową baskinę; ma plastron z niebieskiej jedwabnej materyi, przy którym dany kołnierz wykładany, podszyty takążmateryą.

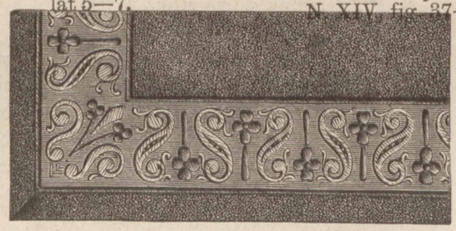




N. 25. Sukieneczka z paletocikiem dla dziewczynki lat 5—7.

N. 26. Sukieneczka bluzkowa dla dziewczynki lat 5—7. Patrz r. 30. Krój na arkuszu N. XIV, fig. 37—42.

Żabot ładnie odbijający na kolorowym plastronie ułożony z żółtawej koronki 10 cent szerokiej. Kokardy z wstążki atłasowej niebieskiej z granatowym spodem.



N. 27. Szlak z narożnikiem do r. 6.

N. 28. Ubranie do pierwszej komunii. Patrz ryc. 20 w N-rze 10.

N. 3 i 49. Suknia z pluszowym stanikiem. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 31—36.

Na spódnicy czarnej kaszmirowej, układanej w kontrafałdy, draperya układa się



N. 30. Sukieneczka dla dziewczynki lat 5—7. Patrz r. 26.

z brytów dopasowanych podług fig. 36, na której litera *a* oznacza połowę przodu podpiętego do 45 c. długości, ułożonego w górze w kontrafałdy 7 i 10 c. szerokie i wszy-

tego w pasek do sukni. Dolny brzeg przym się i przyszywa na spódnicy, podług ryc. 49. bryt *b* podany w całości z boków fałduje się po znaków, a ku środkowi podpina w dwóch miejsc



N. 29. Suknia z vêtement. Patrz r. 21 w N-rze 10. Krój na arkuszu N. XV. fig. 43—47.

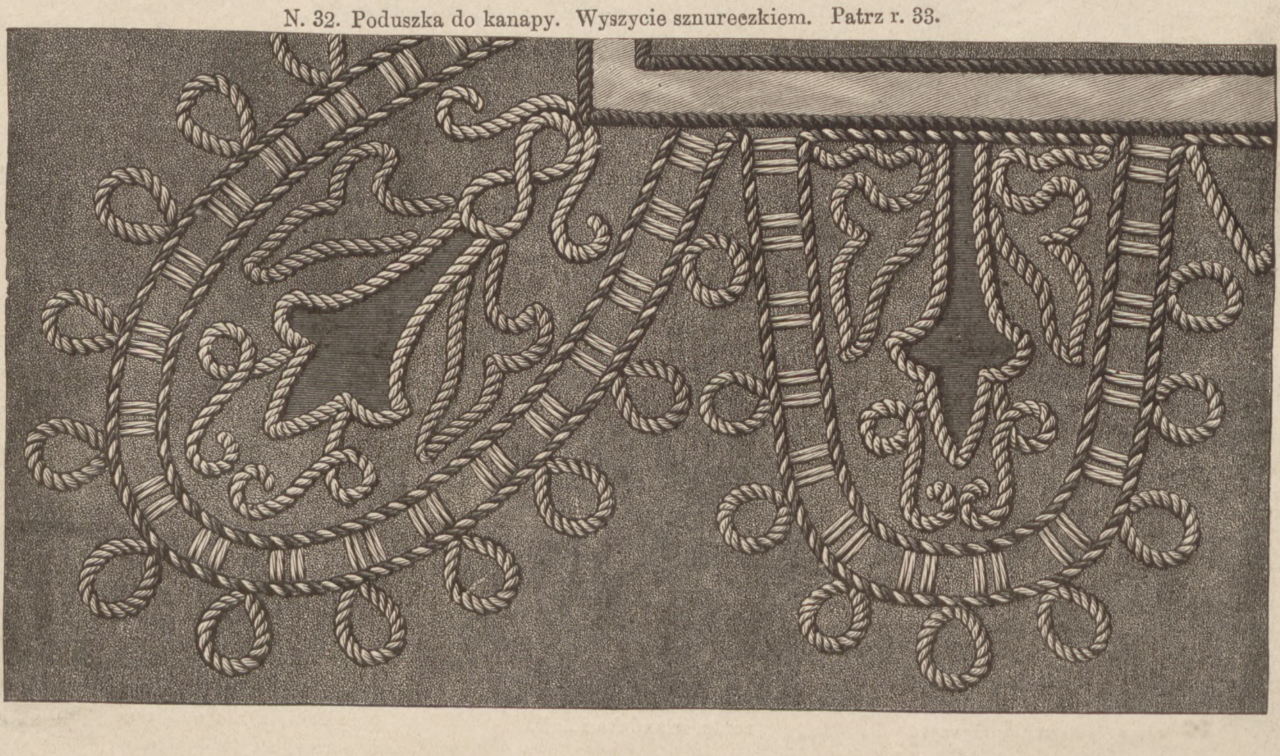
podług r. 3. Stanik odrobiony był z czarnego pluszu. Ubranie to przeznaczone było do lekkiej żałoby i wykończone w czarnym kolorze; kołnierz i ogarnirowanie rękawów dane z czarnej hiszpańskiej koronki 10 c. szerokiej; stojący aksamitn kołnierzyk 5 cent. szeroki, również przykryty koronką. *D. e. n.)*



N. 32. Poduszka do kanapy. Wyszycie sznureczkiem. Patrz r. 33.



N. 31. Negliżyk. Pat r. 1 w N. 10.



N. 33. Szlak do poduszki r. 32. Wyszycie sznureczkiem.